POD SZTANDAREM NIEPOKALANEJ

Kwiecień 2021 Czasopismo rzymskokatolickie Nr 4 (132) 2021

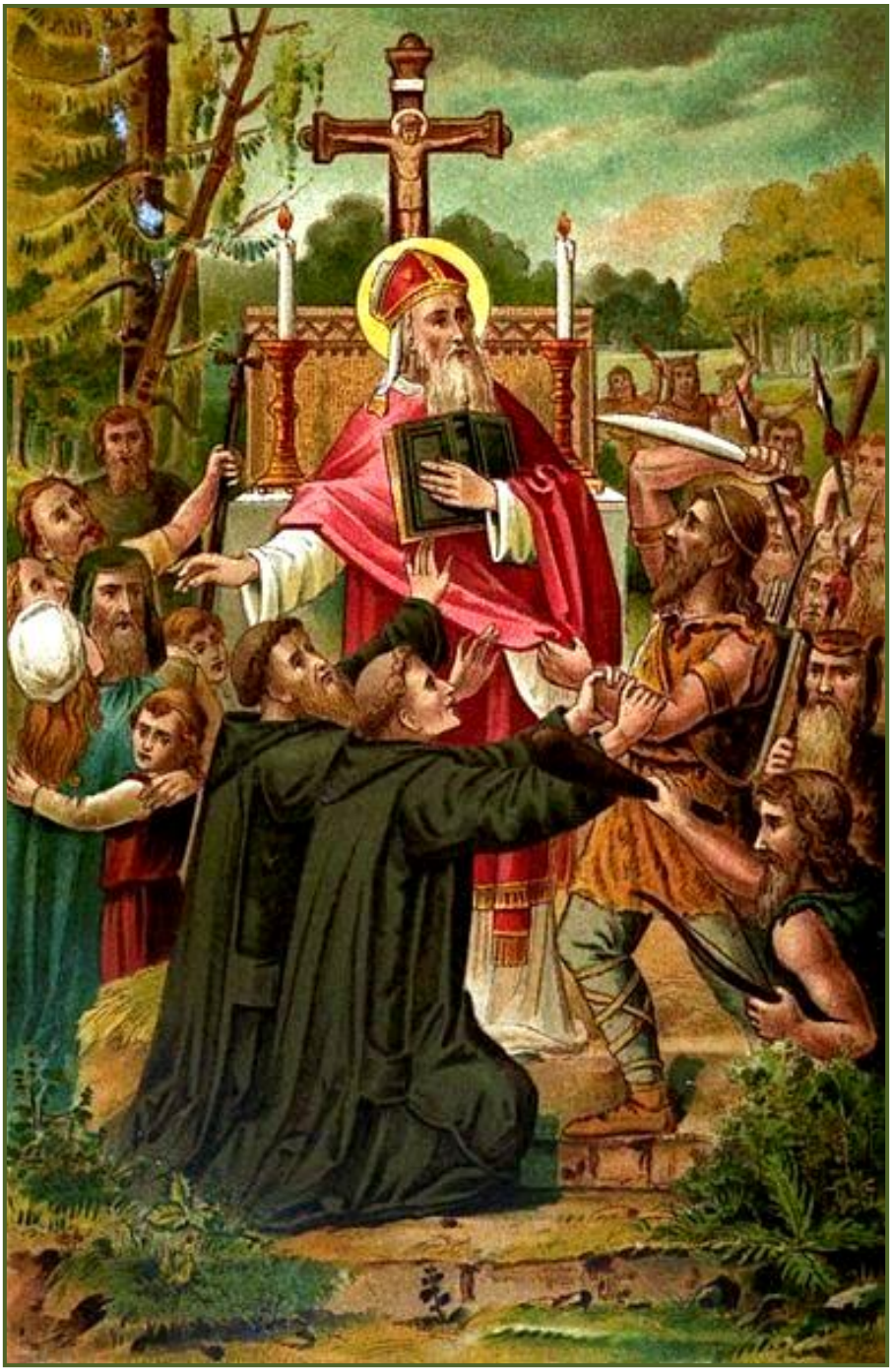

Święty Wojciechu, Patronie Polski – módl się za nami!

"Widząc diabeł, że pustoszeją jego świątynie pogańskie i rodzaj ludzki podąża ku imieniowi Pośrednika-Oswobodziciela, heretyków pobudził, by ci, nosząc nazwę chrześcijan, wrogo stanęli przeciw nauce chrześcijańskiej, jak gdyby mogli być cierpiani obojętnie i bez nagany w Państwie Bożym, tak, jako w państwie pomieszania, gdzie bez różnicy przebywali filozofowie o różnych i wręcz przeciwnych sobie przekonaniach. – Otóż w Kościele Chrystusowym wszyscy, którzykolwiek się niezdrowych i skażonych zasad trzymają, jeśli pomimo upomnienia, by powrócili do zasad prawych i dobrych, uparcie się temu sprzeciwiają i zgubnych swoich a zatrutych nauk porzucić nie chcą, lecz trwają przy ich obronie, – stają się heretykami i uważani są za odpadłych od łona Kościoła do szeregów nieprzyjaciół, walczących z Kościołem. Ale i w ten sposób nawet, przewrotnością swoją pożytek przynoszą owym prawdziwym katolickim członkom Chrystusa, gdyż Bóg i złych ku dobremu używa i tym, co Go miłują, wszystko służy ku dobremu". (Św. Augustyn, *O Państwie Bożym.* XVIII. 51).

Spis treści

Krótki wykład świętej Ewangelii na Niedzielę II po Wielkiejnocy 3
Ks. Piotr Ximenes

Tajemnica jedności katolickiej 5
Ks. Jan Rostworowski SI

Żywot świętego Wojciecha 15
Ks. Piotr Pękalski

Pokój duszy. – Jak zwolna i stopniowo dochodzimy do zbudowania wewnętrznego przybytku świętego pokoju 33
Św. Piotr z Alkantary

O wielkim środku modlitwy. – O skuteczności modlitwy. Zakończenie 34
Św. Alfons Maria Liguori

KRÓTKI WYKŁAD ŚWIĘTYCH EWANGELIJ NA NIEDZIELE I ŚWIĘTA CAŁEGO ROKU

KS. PIOTR XIMENES

NA NIEDZIELĘ II PO WIELKIEJNOCY

Ewangelia u Jana św. w rozdz. 10

Jam jest Pasterz dobry, dobry Pasterz duszę swą daje za owce swoje. Pan Jezus przez przyrównanie, które dziś przybiera na siebie dobrego pasterza, ma na celu okazanie nam czułej pilności i pieczołowitości, które nad nami mieć nie przestaje, i wzbudzenie w nas przez to uczuć ufności i miłości w sobie. Pan Jezus w istocie sprawuje ciągle urząd pasterza nad duszami naszymi. On to czuwa nieustannie nad nimi, podaje pomoc w pokusach, aby nas uchronić od sideł diabelskich, od paszczy tego okrutnego wilka szukającego kogo by pożreć. On wynajduje pasze dla owieczek swoich, dostarczając nam sposobów dokonania sprawy zbawienia naszego, prowadząc nas w miejsca wśród osób mogących w nas obudzić uczucia pobożności, podając nam sposobności, oświecenia się w Religii świętej. On karmi sam owieczki swoje chlebem nauki swojej, pokarmem niewidzialnym Boskich natchnień swoich, tuczy na żywot wieczny własnym ciałem swoim. Pan Jezus co większa jako prawdziwie za wzór służyć mogący pasterz, zeszedł z Nieba, dla szukania przez 33 lata zgubionych owieczek Ojca swojego. Cały świat i wszyscy na nim zostający ludzie bez pośrednictwa Jezusa Chrystusa staliby się byli łupem mocarstwa piekielnego, gdyż po spełnionym grzechu pierwszego człowieka, nikt nie mógłby był być bez ofiary Jezusa Chrystusa pojednanym z Bogiem i należeć do uczestnictwa Chwały Królestwa Niebieskiego. Jedna tylko śmierć i męka Jezusa Chrystusa mogła zadosyćuczynić sprawiedliwości Boga Ojca, wyjednać nam prawo do tego Królestwa, a tak Chrystus Pan jako prawdziwie dobry i najmiłościwszy pasterz nie wahał się wydać duszy swej za owieczki swoje, i obronić je utratą własnego życia od grożącego im nieszczęścia wiecznego potępienia.

Lecz najemnik, który nie jest pasterzem, którego nie są owce własne, widząc wilka przychodzącego, opuszcza owce i ucieka, a wilk porywa i rozprasza owce. Przez najemnika niedbałego opuszczającego owce za nadejściem wilka rozumie Pan Jezus złego nieczułego kapłana, który widząc rozwolnienie, zepsucie obyczajów, niedowiarstwo wślizgające się wśród powierzonych sobie dusz zamiast podwojenia starań i

usiłowań, do naprowadzenia ich na drogę dobrą i nawrócenia do Boga, oddaje się niegodziwej gnuśności, patrzy obojętnie na szkody, które diabeł wpośród trzody jego czyni, a na koniec dla szukania dla siebie korzyści światowych, wcale ich opuścić, i na niebezpieczeństwo wpadnięcia całkiem w moc czartowską narazić gotów. Taki kapłan niewart w istocie nazwiska pasterza owieczek Chrystusowych, ale raczej niegodziwego najemnika, któremu kiedyś ciężki rachunek przed Bogiem z niegodziwego sprawowania swego Urzędu zdawać przyjdzie. Nic nie ma w istocie szkodliwszego dla zbawienia ludzi, jak źli kapłani najemnicy, których pieczy powierzeni być mogą, jako też nic zbawienniejszego jak dobrzy pasterze sprawujący godnie, wysoki i wielki urząd ich, dlatego też jest powinnością dobrych Chrześcijan, modlić się za Kościół i prosić Boga, aby raczył sam powoływać na urząd kapłański ludzi, których serca według Jego myśli usposobione by były.

Jam jest on pasterz dobry, i znam owce moje, i znają mnie moje. Nic nie jest zdolniejszym obudzić w sercach naszych uczuć miłości i ufności ku Jezusowi Chrystusowi jak te słowa Jego: znam ja owieczki moje, i znają mnie moje. Świat błędny w sądach swoich, nie umie często rozróżniać ludzi prawdziwie pobożnych od tych, którzy tylko pozór pobożności mają, nie umie nadać godnego szacunku prawdziwej zasłudze, sądzi z powierzchowności, sądzi podług swych zdań fałszywych. Lecz Pan Jezus zna owieczki swoje, widzi On serce każdego człowieka, zna wewnętrzne usposobienie jego, wie, czy Go prawdziwie kocha lub nie, rozróżnia ich. – Widzi dobrze każdą myśl, każde westchnienie, które Go za cel mieć może, widzi każde zwycięstwo, które człowiek nad sobą samym odnosi, każde poruszenie gniewu, pychy, niecierpliwości, które dla miłości Jego przezwycięża i poskramia, każdy dobry uczynek w skrytości wykonany. Widzi jawnie serce każdego, przenika najskrytsze tajniki jego, zna doskonale owieczki swoje, to jest ludzi, którzy szczerze służyć Mu starają się, i nie spuszczając ich z oka, w całym biegu życia ich, gotuje im w Niebie wieczne nagrody, za te zasługi, które sobie na tym świecie skarbią.

Znam owieczki moje, i znają mnie moje. Jako Chrystus Pan zna ludzi, którzy Go prawdziwie kochają, tak też i serca miłością ku Niemu gorejące znajomością Jego zaszczycone bywają. Znają Jezusa Chrystusa owieczki Jego, gdyż kto Boga kocha to Go i zna. Kto zaś zna Boga, ten Jego za cel miłości swojej, jako najwyższe i istotne dobro obiera, ten w Nim całą ufność swoją, jako w najczulszym i najdobrotliwszym Ojcu i Opiekunie pokłada, ten na wierze od Niego nam objawionej, jako na słowach z ust Boskich pochodzących, rozum swój opiera, ten nie w rozkoszach i uciechach świata, ale w Bogu samym i w cnocie szczęścia swego szuka, ten gardzi tym co przemija, a pragnie usilnie złączenia się wiecznego z Bogiem. Jeśli wiedzieć chcemy,

czy z liczby owieczek Jezusa Chrystusa jesteśmy, wejdźmy w siebie samych, i zapytajmy się serc naszych, czy Go tym sposobem znają.

I drugie owce mam, które nie są z tej owczarni, i one potrzeba, abym przywiódł, i słuchać będą głosu mego, i stanie się jedna owczarnia i jeden pasterz. Te owce, o których Pan Jezus mówi, że nie są z owczarni Jego, znaczą narody, nieoświecone światłem wiary, jakimi są Żydzi, Turcy, poganie; te więc narody obiecuje Pan Jezus przywieść do owczarni swojej, to jest do Kościoła katolickiego, i skłonić je do słuchania głosu Jego. Spełni się to proroctwo Jezusa Chrystusa, a przed skończeniem świata, wszystkie narody, jakie się tylko na świecie znajdować mogą, uznają błędy swoje, usłuchają głosu Jego i nawrócą się do wiary Jezusa Chrystusa. Wtedy dopiero stanie się prawdziwie jeden pasterz i jedna owczarnia; wszyscy ludzie będą Chrześcijanami katolickimi, i będą uznawać za pasterza widzialnego na ziemi Papieża, a niewidzialnego, w Niebie Jezusa Chrystusa.

Krótki wykład świętych Ewangelij na Niedziele i Święta całego roku. Z włoskiego X. Piotra Ximenes na polskie przełożony. Tom I. Stanisławów 1848, ss. 122-126.

Tajemnica jedności katolickiej

KS. JAN ROSTWOROWSKI SI

Cisza panowała w Wieczerniku, kiedy po pierwszej na świecie Mszy świętej, odsłaniał Pan Jezus przedziwne głębie swego serca przed uczniami, których niebawem opuścić miał na długo. Mówił im wiele o miłości wzajemnej, o wielkich zadaniach, jakie im przeznacza, o prześladowaniach, których mieli być ofiarą, o wielkim Pocieszycielu i Pomocniku z nieba, którego, na swoje miejsce, miał im zesłać.

Wpatrzona w Mistrza, słuchała tych słów mała gromadka jedenastu wiernych, to z obawą, to z żalem, to z chwilowym przebłyskiem radości. Ale czy co rozumieli z tej nauki swego Zbawiciela? Można powiedzieć, że prawie nic. Nie pojmowali, że On jutro ma umrzeć na krzyżu za grzechy świata, i nie rozumieli, że ma zmartwychwstać, nie wiedzieli, że w imię Jego ma być opowiadana ewangelia po całej ziemi dla zbawienia wszystkich narodów, nie domyślali się, że ma powstać nowa, od Synagogi odrębna, społeczność religijna, w której oni sprawować będą w imię Chrystusa, zwierzchnictwo i kapłaństwo.

Nie wiedzieli tego wszystkiego i tysiąca innych rzeczy, które złożyć się kiedyś miały na całokształt katolickiej prawdy, i owszem wiedzieć tego nie mogli. Sam Pan Jezus im mówi: "Wiele jeszcze mam wam powiedzieć, ale teraz znieść (tego) nie możecie". Ogrom tego dzieła, które rozpocząć mieli, nie byłby żadną miarą zmieścił się w ich umysłach i sercach. Ale też Zbawiciel nie liczył wyłącznie na własne ich siły. "Pocieszyciel Duch Święty, którego Ojciec pośle w imię moje, On was nauczy wszelkiej prawdy i przypomni wszystko, cokolwiek wam powiedziałem. On mnie uwielbi, bo z mego weźmie a wam opowie".

To jest punkt wyjścia, czyli, po scholastycznemu, *terminus a quo*, olbrzymiej ewolucji Chrystusowego dzieła: W sercach uczniów dużo dobrej, choć słabej woli; w głowach ledwie maleńkie przebłyski przyszłej pełności światła; ponad tajemniczą, nieprzejrzaną przyszłością unosi się tylko nieomylna zapowiedź Mistrza, że On ześle im Ducha prawdy; a nadto, że nie zostawi ich sierotami, bo pozostanie z nimi aż do skończenia świata.

Po dramacie Kalwarii, po zmartwychwstaniu, po odejściu Pana Jezusa do nieba, przyszedł istotnie Duch Święty w wichrze i w ogniu. Przez malutki zawiązek Kościoła, kryjący się dotąd bojaźliwie w Wieczerniku, przebiegła iskra życia. Po kilku tygodniach było już o nim głośno w całym Jeruzalem; lat kilka minęło a maleńkie ziarno gorczyczne zaczęło już rozpuszczać gałązki po całej Palestynie i w syryjskiej Antiochii. Duch Święty tak skutecznie kierował powierzonym sobie dziełem, że nie dobiegło do końca dwudziestolecie od śmierci Chrystusowej, a słowa ewangelii Jego brzmiały donośnie po rozmaitych krajach Azji Mniejszej, na Cyprze, w Macedonii i Achai, a na koniec i w światowładnym Rzymie.

Równocześnie zaś z rośnięciem wszerz, dokonywała się potężna ewolucja wewnętrzna. Ustalały się i, głównie za sprawą św. Pawła, wypełniały się prześliczną treścią dogmatyczne wierzenia; tworzyła się pod ręką Apostołów i różniczkowała hierarchia; wchodziły w życie gmin sakramenty i rozwijały się powoli obrzędy; powstawały modlitwy i pieśni; całe życie uczniów Chrystusowych, jak widoczna z listów Apostoła narodów, zaczynało wchodzić w koleje pewnych form i praktyk, pewnych zwyczajów i sposobów współżycia, które, niegdyś nieznane, jakby samorzutnie się rodziły z samej ideologii głoszonej przez ewangelię.

Pędu tego rozrostu, zwłaszcza wewnętrznego, nie stłumiły prześladowania. Choć krwawiący się tysiącem ofiar, choć ścigany i zmuszony do szukania jakiegokolwiek bądź bezpieczeństwa w ukryciu, Kościół mężniał sam w sobie. Zbyt potężny miał w sobie pierwiastek życia, żeby mógł zatrzymać się w pół drogi i nie osiągnąć tego, co ładnie wyraża współczesny myśliciel: "*Evoluer c'est achever de*

devenir soi-même" (1). Krzepły dogmaty i wyjaśniały się dogmatyczne formuły w walce z budzącą się herezją; wzbogacał się obrządek; nauka chrześcijańska, po ustaleniu już kanonu ksiąg świętych, zaczęła tworzyć dzieła o apologetycznym lub teologiczno-homiletycznym charakterze, które ugruntowaniu i oświeceniu wiary oddawały ogromne usługi.

Jutrzenka swobody Kościoła, która zabłysła tak obiecująco z edyktem mediolańskim, z natury rzeczy nadała ewolucji i szerszy zasięg i szybsze tempo. Samo bowiem oficjalne wejście chrześcijaństwa w publiczne życie ówczesnego świata otwarło przed jego wyznawcami cały szereg praktycznych i teoretycznych problemów, których rozwiązanie, choć z konieczności improwizowane, było niezmiernej wagi, bo miało na długo nadać Kościołowi pewien kierunek, i pewną swoistą fizjonomię. Stosunek do imperatorów, do władz, przeważnie pogańskich, do wiedzy i życia dawnego świata, do zaznaczającej się coraz silniej odrębności Wschodu i Zachodu, a na wewnątrz, utrzymanie prymatu, zwalczanie przez sobory powszechne, coraz silniej i szerzej występujących herezji, administracyjny podział Kościoła i stosunek jego do dóbr doczesnych – oto cząstka tylko tych ogromnych zagadnień, które otwarły się nagle przed młodą społecznością chrześcijańską, żądając nie tyle spekulatywnej odpowiedzi, ile zajęcia pewnej pozycji, tak obranej, żeby można było zachować ją i na przyszłość.

Cały szereg wybitnych papieży: Sylwester, Juliusz, Damazy, Innocenty, Celestyn, Leon i inny szereg najznamienitszych Ojców: Atanazy, Epifaniusz, Bazyli, obaj Grzegorze, obaj Cyryle, Chryzostom – na Wschodzie, Ambroży, Hilariusz, Euzebiusz z Vercelli, Hieronim, Augustyn, Chryzolog – na Zachodzie, sprostał ogromnemu zadaniu. Mimo wrogiego często nastawienia imperatorów, mimo wysiłków potężnych kacerzy przez wiek czwarty i piąty, we wszystkich niemal kierunkach rozwinął się Kościół po prostu wspaniale. Nauka pogłębiła się i oczyściła, organizacja zrobiła duże postępy, życie obrzędowe wzrosło; liczbą wyznawców, rozległością wpływów, nawet wiedzą i sztuką mogło chrześcijaństwo bez sromu przeciwstawiać się staremu światu.

Nic więc dziwnego, że kiedy w r. 434, na małej wysepce Lerinum, u stóp późniejszej Marsylii, świątobliwy mnich, Wincenty, po burzliwym żołnierskim życiu, wnikał myślą i sercem w życie Kościoła, który całą duszą ukochał, obok pierwiastku niezłomnej stałości, stwierdzał w nim wieloraki postęp, nie tylko faktyczny, ale ze wszech miar pożądany i nieodzowny. Bez tego postępu nie da się pomyśleć żaden organizm żywy, a tym bardziej taki, w którym tętni życie nieśmiertelne. Dodawał jednak zaraz głęboko teologiczną uwagę, że ten postęp

wtedy tylko w chrześcijaństwie będzie zdrowy i owocny, kiedy, pomimo rozległości zasięgu, dokonywać się będzie *in eodem dogmate, eodem sensu, eademque sententia* (2).

Śliczna zasada, na którą powoła się po piętnastu wiekach Sobór Watykański (3), ale jak ją wykonać? Przecież ginęła właśnie w tym czasie jednolitość kultury grecko-rzymskiej; z hord barbarzyńskich, prących od Uralu i Kaspijskiego morza na zachód i na południe miały powoli wyrabiać się nowe narody i organizmy państwowe; sam Kościół rozszerzał się niepomiernie, natrafiając w tym rozroście na coraz to nowe trudności, płynące przeważnie z odrębności środowisk. A do tego, wielkie światła epoki Ojców prawie zupełnie zagasły, niekiedy owszem mrok podchodził aż pod wyżyny Stolicy Apostolskiej.

Zaczynał się dla Kościoła niezmiernie trudny okres, a okres taki, który wołał po prostu o dalszą ewolucję, o wieloraką adaptację, tj. o rzeczy, które *in eodem sensu eademque sententia* mogły wydawać się w tej chwili nieomal niemożliwością.

Bo czyż istniał, choćby w najgrubszym zarysie, jakikolwiek plan tej koniecznej ewolucji? Czy były na widoku jakieś siły do jej wykonania? Czy można było w ogóle w tym chaosie stawania się wytknąć idei katolickiej jakieś określone drogi do wniknięcia w to współczesne życie, tak nowe, tak różne od dawnego, tak nieraz gwałtownie oporne?

A do tego waliły się z zewnątrz nowe burze. Poszarpany poprzednimi herezjami Wschód, za sprawą Focjusza i Cerulariusza odrywał się od jedności rzymskiej zupełnie; najpierw arabski zalew od południa, potem turecki od wschodu, zaczynały grozić południowej Europie straszliwą niewolą; krecia robota tajnych sekt wątliła od wewnątrz siłę i czystość wiary.

Nieoczekiwanie pojawiło się kilka jasnych punktów, które zmieniły się niebawem dla dużej części Europy w potężne ośrodki światła. Pierwszym z nich było nawrócone do Chrystusa Frankońskie państwo, które przez Chlodwiga i Merowingów utorowało drogę do wielu zwycięstw Krzyża, zwłaszcza do późniejszych wielkich czynów Pepina i Karola Wielkiego. Drugim była Irlandia św. Patryka, która, oparta niebawem i o szkockie pobrzeża, przez tak zwanych iroszkockich zakonników zaczęła promieniować wiarą na całą prawie środkową Europę. Trzecim było coś, czego doniosłość dla rozwoju chrześcijaństwa nie da się nigdy dość żywymi barwami wyrazić. Oto pod tchnieniem Bożym z odludnego, do niedawna pogańskim zabobonom służącego, Monte Cassino, zaczęły wychodzić na świat całe gromady cichych zakonników jak roje pszczół z macierzystego ula. Mnożąc się z szybkością przewyższającą wszystkie ludzkie rachuby, szli dalej i dalej, zakładając dziesiątki, potem setki i setki klasztorów, które prawdziwie były

dla całych okolic solą ziemi i światłością świata. Z tych klasztorów promieniowała i materialna i przede wszystkim duchowa kultura; nawracająca się lub świeżo nawrócona ludność miała w nich i nauczycieli i mistrzów oraz wzory chrześcijańskiego życia i oparcie w przeróżnych trudnościach. Z tego zakonu wychodzili gromadnie święci biskupi a nieraz i papieże, potężni słowem i czynem apostołowie-misjonarze, wybitni uczeni, wielcy reformatorowie Kościoła w chwilach upadku. Do nikogo chyba tak, jak do św. Benedykta, nie można odnieść słów, jakimi Mędrzec wysławia Abrahama, *magnus pater multitudinis gentium*, on bowiem przez synów i córki swoje wprowadził Chrystusa w kraje i w głębię niezliczonych dusz, budując w nich same podstawy kultury chrześcijańskiej. Benedyktyni przygotowali grunt i utorowali drogę następcom swoim na niwie Bożej, Cystersom, Franciszkanom, Dominikanom i wielu innym.

Kiedy w ten sposób, po kilku wiekach mrocznych i trudnych otwierał się przed Kościołem prześliczny rozkwit 13 wieku, nowe formy życia chrześcijańskiego, odmienne od starożytnych, tak były gotowe, jak był gotowy styl gotyckich świątyń, wchodzących w miejsce romańskich kościołów, jak zaczynała rysować się w umysłach ta jednolita budowa przyrodzonej i nadprzyrodzonej prawdy, która we wspaniałych Summach teologicznych i filozoficznych miała znaleźć swój wyraz.

Ale obok tych głównych zrębów chrześcijaństwa, pojawiły się były tysiące kościelnych i niekościelnych obrzędów, zwyczajów, praktyk, symbolicznych obchodów, instytucyj, którymi tak napełnił się Kościół, jak drzewo na wiosnę pokrywa się zielonymi liśćmi. Co zaś w tym wszystkim doprawdy zdumiewa, to to, że mimo całej odmiany, jaką w życie wyznawców Chrystusa wprowadził ten przełomowy okres siedmiu wieków, wszystko poszło naprzód *in eodem sensu eademque sententia*. Nie mówiąc już o ścisłym dogmacie, można śmiało powiedzieć, że św. Augustyn czy Chryzostom, przeniesiony w czasy świętych Tomasza i Bonawentury, osądziłby, że choć dużo rzeczy przedstawia się inaczej, nic nie ma istotnie innego w tym, co składa się na właściwe chrześcijańskie życie. Powiedziałby zapewne, że, kiedy drzewko zamienia się w drzewo, choć z jednego pnia się rozwija, nie może nie okrywać się nowymi gałązkami i liśćmi.

I znowu nadeszły czasy cięższego jeszcze przełomu. Po lokalnych burzach schyłku 14 i całego 15 wieku, wśród rozkładowych tendencji religijnego nowatorstwa, zaczynały jawić się na duchowym horyzoncie świata, nowe czasy. Zdawało się wielu umysłom, że bardzo wiele rzeczy musi się zmienić, bądź w Kościele katolickim i jego religii, bądź w całym ludzkim życiu, tak myśli, jak czynu. Te wrażenia i zamysły znajdowały podatny grunt w niezaprzeczonym fakcie, że z

końcem 15 i początkiem 16 wieku na darmo wołano o bardzo pożądaną reformę życia hierarchii, a nawet najwyższych zwierzchników Kościoła.

Zaczęło się od rewolucji religijnej. Na miejsce żywej powagi, decydującej w sprawach wiary, usiłowano postawić świętą lecz martwą księgę; osobistą, w moralnej dziedzinie, współpracę z łaską Bożą, próbowano zastąpić niezwyciężoną tej łaski siłą.

Rozkład był nieunikniony: reformacja znalazła się na równi pochyłej, wiodącej w niziny zupełnego naturalizmu. Różne formy niedowiarstwa 18 wieku stoczyły się w tę przepaść. Gdy wśród wstrząsów rewolucji i szczęku broni Napoleońskich wojen, świtał wiek 19, dla dużej części inteligentnej Europy chrystianizm był już przeszłością tylko, bezpowrotnie minioną.

Że przeciw tej niewierze rozpoczęła się w epoce romantyzmu i następnej, wspaniała i coraz silniejsza reakcja, to powszechnie wiadomo. Około czasu Soboru Watykańskiego i bardziej jeszcze za pontyfikatu Leona XIII liczono na setki konwertytów z zupełnej niewiary i z wszystkich wyznań, nierzadko wśród samego kwiatu inteligencji starego i nowego świata.

Wśród tych niezaprzeczonych zwycięstw można było jednak stawiać sobie pytanie, czy przed tymi umysłami, urobionymi na modłę tak niezmiernie różną od dawnej, będzie mógł stanąć stary katolicki Kościół nie tylko ze swoim dogmatem jako takim, ale z całą tą rozmaitością ubocznych wierzeń, nabożeństw, zwyczajów, jakimi przystroiły go minione wieki. Za swoich jeszcze czasów mógł św. Ignacy Loyola w specjalnych regułach *sentiendi cum ecclesia* zalecać odprawiającym ćwiczenia duchowne, by pochwalali "śpiewy pobożne, psalmy, pacierze kanoniczne, modlitwy do świętych, czczenie relikwii, odpusty, jubileusze, pielgrzymki, palenie świec po kościołach, uczynki pokutne i posty itp." (4), ale czy na schyłku 19 i w 20 wieku trafią te rzeczy do umysłów, które, jak mówił Dostojewski, "nie jak dzieci, ale przez ogniowe próby wszystkich wątpień zdołały przenieść lub odzyskać na powrót swoje hosanna"? (5) Przecież przed tymi umysłami roztacza się już cały ogrom współczesnej wiedzy i tego technicznego postępu, który z dnia na dzień przybiera tempo coraz szaleńsze. Przecież przesunęły się już przed nimi wszystkie możliwe negacje i szyderstwa, wszystkie kuszące miraże nowożytnej myśli, od modernizmu do egzystencjalizmu włącznie i wszystkie zarzuty usiłujące roztoczyć każdy szczegół chrześcijańskich i odczuć i wierzeń! Jakże więc od tych ludzi żądać, by przyjęli w czambuł wszystko, nie tylko dogmat, ale przeróżne ozdoby, dodane mu przez pobożność maluczkich?

Rzecz doprawdy zdumiewająca, ale próżne były obawy. Ile razy dokonało się w sercu prawdziwe nawrócenie, jakby inny sposób patrzenia na rzeczy i inne odczucia pojawiały się w duszy. W całym konkretnym katolicyzmie zaczynano się czuć jak w rodzinnym domu; cały styl katolickiego życia nie tylko zaczynał się podobać, ale robił wrażenie jakiejś tajemniczej jedności, której każdy, pozornie nawet nieznaczny szczegół ma swoje znaczenie i taki właśnie jest, jakim być powinien.

Nie będziemy na razie odwoływać się w tej sprawie do licznych i znanych zresztą, świadectw samych konwertytów. Postawimy sobie natomiast szersze pytanie: Co to jest, co rzeczywistości katolickiej, tak ogromnej, jaką jest i tak bogatej, nadaje ten charakter jedności, który w niej tak wyraźnie panuje? Co to jest za siła, pod której działaniem owa jedność kształtowała się przez wieki, wśród tak niezmiernie różnych okoliczności, pod ręką ludzi uzdolnieniem, temperamentem, skłonnościami, tak bardzo do siebie niepodobnych? Co to jest, co wbrew niezliczonym trudnościom, potężny prąd ewolucji wprowadzało zawsze w jedno i to samo koryto i umiało go utrzymać w wytkniętych granicach?

Wszakże, jak powiedzieliśmy wyżej, gotowego planu tego rozwojowego ruchu, w ludzkich przynajmniej głowach, absolutnie nie było. Dowodem na to może być fakt, że najważniejszy w tej sprawie czynnik, tj. nieomylność Kierownika całego kościelnego życia, nie z samego początku, ale dopiero po osiemnastu wiekach ciągłego rozwoju, doczekał się dogmatycznej definicji. Kiedy usiłujemy zdać sobie sprawę, dlaczego wtedy a nie w innym czasie pojawiały się na widowni kościelnego życia rozmaite określenia, prawa, przepisy, nowe formy organizacyjne i nowe kierunki pobożności, nie znajdujemy prawie nigdy wewnętrznych, spekulatywnych racji. Wszystko dzieje się raczej przygodnie, wywołane już to opozycją błędnowierców, już to inną potrzebą chwili, już wreszcie jakimś niewytłumaczonym pociągiem i upodobaniem, czy to całego Kościoła, czy hierarchów. Dzięki temu, jak powszechnie wiadomo, ogromnej potrzeba było pracy, żeby w niesłychanym gąszczu, wydawanych przez wieki ustaw kościelnych, wyróżnić to, co może mieć jeszcze moc obowiązującą i zebrać te rzeczy w jeden kodeks kanonicznego prawa.

Powraca więc z nową siłą, zawsze to samo pytanie, czemu przypisać, że mogła zachować się w całej pełni stara zasada Wincentego z Lerinum: "Niech wszystko w Kościele rozszerza się i rośnie, *sed in eodem sensu eademque sententia*"?

W czysto zewnętrznych przymiotach i siłach Kościoła odpowiedzi na to pytanie znaleźć nie podobna. Taka jedność, jaką przez dziewiętnaście wieków zachował katolicyzm, jest czymś dla sił czysto ludzkich bezwzględnie

nieosiągalnym. Wchodzi tu w grę i wchodzić koniecznie musi ta tajemnicza rzeczywistość, która główną treść i istotę Kościoła stanowi. Tę rzeczywistość zaś na wielu miejscach określa i objaśnia Apostoł, jako *unum corpus et unus spiritus*, jedno ciało i jeden duch. Ten dogmat głębokiej, bo mistycznej jedności kościelnego organizmu, sam jeden zdolny jest uzasadnić i wytłumaczyć zdumiewającą jedność jego linii rozwojowej, tak co do nauki, jak co do ustroju i wszelkich objawów zbiorowego życia.

Przez charaktery sakramentalne i przez łaskę, a osobliwie przez Eucharystię, tworzą wierni jedno ciało, i to ciało nie inne, tylko Chrystusowe. "Wy jesteście ciałem Chrystusowym i członkami z członka". Będąc zaś tym żywym ciałem, nie mogą nie mieć i Chrystusowego ducha. A duchem tym, który i Chrystusa napełnia i ciało Jego ożywia, nie jest nic innego tylko trzecia osoba Trójcy, Duch Przenajświętszy. O tym przedziwnym pierwiastku ożywczym mówi św. Paweł: "Wszyscy my w jednym Duchu w jedno ciało jesteśmy ochrzczeni i jednym Duchem napojeni". Ten Duch, którego za Leonem XIII Pius XII nazwał świeżo "duszą" kościelnego organizmu tak jest nieodzowny i dla całego ciała i dla każdego członka z osobna, że Apostoł nie waha się kategorycznie stwierdzić: "Kto nie ma Ducha Chrystusowego, ten nie jest Jego". Przez tego Ducha i tylko przez tego Ducha stajemy się i jesteśmy Chrystusowi.

Pamiętać jednak trzeba, że ten Duch nie jest w nas bynajmniej pierwiastkiem statycznym. On nami rządzi i nas porusza. "Którzykolwiek Duchem Bożym są rządzeni – *Quicumque spiritu Dei aguntur* – ci są synami Bożymi", powiada Apostoł. Ten Duch uczy nas modlitwy i z nami się modli, On w nas i przez nas świadczy, On daje rozumienia i odczucia, On przez nas przemawia. Właściwością zaś tego Ducha jest, jak mówi Mędrzec, że On, choć bardzo "rozmaity" jest jeden "i choć w sobie trwa (nieodmiennie), wszystko odnawia". Odnawia zaś wszystko na modłę Chrystusową, bo On na to jest nam dany, żeby "Chrystusa uwielbił" tj. ukształtował Go w każdej duszy z osobna i w całym Kościele.

Duch Święty więc kieruje całą ewolucją kościelnego życia. On nadaje temu życiu bogactwo i tę przedziwną rozmaitość w jedności, dzięki której, bez żadnego zgoła szablonu, wszystko nosi na sobie cechę *unius sensus eiusdemque sententiae*.

Jak się zaś w praktyce dokonywa to kierownictwo, na to rzuca pewne światło Apostoł, opisując wewnętrzną naukę Ducha Świętego w sprawie modlitwy. Wspomina tam o jakichś *gemitus inenarrabiles* czyli o tajemniczych szeptach czy niewymownych wzdychaniach, które Duch Święty dołącza do naszych modłów. Coś podobnego, w zależności zawsze od nauczycielskiego urzędu, dzieje się i w

myślach dzieci Bożych, zwłaszcza tych, które skierowane są do czynu. Nie tylko na mistycznych wyżynach ale w zwykłym, prawdziwie chrześcijańskim życiu; tą swoją przedziwną, cichą mową poucza Duch Święty, jaka myśl i jakie uczucie, jaki gest i jakie słowo, jaka decyzja i jaki postępek, odpowiadają godności członka Chrystusowego ciała. Im wyższe są te członki i im szerszy zasięg ich działania, tym donośniej odzywa się ta mowa, ale daje się słyszeć w każdym sercu pod tym jednym warunkiem, o jakim ślicznie mówi modlitwa kościelna: *ut non noster sensus in nobis, sed iugiter eius praeveniat effectus*. Nie trzeba, jak Apostoł mówi, "być mądrymi sami w sobie", trzeba pragnąć pouczenia z góry, a wtedy ono niezawodnie przyjdzie i bez żadnych słów, dowie się dusza przez Ducha Chrystusowego, co naprawdę w danym wypadku myśli i odczuciom Chrystusowym odpowiada.

Tym tylko się tłumaczy cała przedziwna jedność Kościoła, że wszyscy w nim są, jak mówił Zbawiciel, albo przynajmniej być mogą, *docibiles Dei*, tj. ludźmi pouczanymi wewnętrznie przez Boga. Tym się tłumaczy i to, czego codzienne doświadczenie naucza, że nieraz najprostsi ludzie, byle dobrej woli i czystego serca, tak jasno widzą, co jest, a co nie jest Chrystusowe.

Kto natomiast sobie tylko ufa i wewnętrznej mowy Ducha nie pragnie, ten, jeśli chodzi o drobniejsze rzeczy, mniej lub więcej krzywi swoją drogę; jeśli o rzeczy ważne, sam siebie wyklucza, bo "którzy nie mają Ducha Chrystusowego, ci nie są Jego". I tak Kościół się oczyszcza od pierwiastków jedności przeciwnych. Gospodarz winnicy odcina latorośle nie przynoszące tego owocu, o jaki On tak gorąco prosił "aby wszyscy byli jedno".

Kościół więc dlatego jest jeden, że, jako żywe ciało Chrystusowe, rządzony jest przez Chrystusowego Ducha, który każdego z wiernych kształci wewnętrznie na Chrystusową modłę, że zaś tak istotnie jest, o tym można przekonać się namacalnie badając psychologię ludzi powracających do Kościoła z niewiary lub innych wyznań.

Wiadomo, że tym, co stoją z zewnątrz i nie umieją na Kościół Chrystusowy Chrystusowymi oczyma spoglądać, wiele rzeczy w wierzeniach i pobożności katolickiej nie podoba się i nie dogadza. Nie rozumieją znaczenia tych rzeczy i ich związku z całością. Otóż z tą samą chwilą, kiedy Duch Chrystusowy naprawdę w nich zamieszka, zaczynają sądzić zgoła inaczej. Wszystko wydaje im się jednolite i zwarte i Ducha Chrystusowego pełne.

Na dowód tego faktu nie będziemy tu przytaczać znanych oświadczeń takiego Newmana lub Bensona. Mogą na tę rzecz rzucić bardzo pożądane światło wyznania innych, mniej znanych konwertytów, którzy wróciwszy do Kościoła, ze

zdumieniem i niepojętą radością powtarzają niejako słowa Apostoła, że w tym wielkim przybytku Bożym "wszystko i we wszystkich – Chrystus".

Tak na przykład Teodor de la Rive, przeszedłszy z zimnego kalwinizmu do Kościoła, pojmuje nagle z prawdziwym zachwytem "jak wszystkie wierzenia i nabożeństwa prawdziwie katolickie wiążą się i wzajemnie tłumaczą... Rzeczywista obecność Zbawiciela na ołtarzach, spowiedź, odpusty, niepokalane poczęcie Maryi, Jej kult i cześć oddawana świętym, nabożeństwo do dusz zmarłych, kult Serca Jezusowego itd., to są tylko rozmaite sposoby wyznawania Chrystusowego Bóstwa i oddawania temu Bóstwu czci należnej. Nie trzeba się mylić: jest to zawsze ten sam Jezus Chrystus, którego osobę, potęgę i miłość każdy z tych dogmatów nam wskazuje i do którego każde z tych nabożeństw kieruje nas powrotnie. Gdy stałem się katolikiem, doznałem takiego uczucia, jak ktoś, który z częstego czytania znał dobrze żywot jakiegoś człowieka, a wreszcie zetknął się z nim osobiście i wszedł z nim w bezpośredni kontakt. W Chrystusie żyjącym w Kościele rozpoznałem Chrystusa ewangelicznego, ale pojąłem, że, jeśli ewangelia jest opisem Jego życia, Kościół jest tym życiem i to życie nam podaje. Spostrzegłem więc, że od uczuciowego tylko przywiązania podniosłem się w Kościele do wyższego i głębszego z Chrystusem związku, żądającego przelania się w czyn" (6).

Całkiem podobnie wyraża się inna wielka dusza, której wewnętrzne koleje nakreślił znany katolicki pisarz. "Cóż prawdziwszego, cóż piękniejszego nad dogmat? Chrześcijaństwo dla mnie to tylko zjednoczenie duszy z Bogiem przez Jezusa Chrystusa. W tym zawiera się wszystko. Z tego szczytu będę schodziła do wszystkiego, co jest w Kościele. Obrałam Chrystusa za Mistrza i dnia pewnego na modlitwie przyjęłam Go jako Słowo Wcielone, Oblubieńca dusz, żyjącego w ich głębi. Przez to życie Jego we mnie poznałam Trójcę Świętą, poznałam piękność Kościoła, poznałam Dziewicę Niepokalaną i wszystkich świętych. Nie myśląc o tym wcale, poczułam się dnia jednego i dzieckiem św. Józefa, roztaczającego nad duszą moją słodką opiekę. I tak przesuwają się powoli przez duszę moją wszystkie rozumienia objawione Kościołowi, w tym prawie porządku, w jakim dane zostały światu" (7).

Wszystko więc przez Chrystusa i w Chrystusie, dlatego ze wszystkiego, co prawdziwie katolickie, tak piękna jedność wyrasta.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Artykuł z czasopisma: "Przegląd Powszechny", Rok LXVII, T. 229, styczeń-czerwiec 1950. Warszawa. WYDAWNICTWO KSIĘŻY JEZUITÓW, ss. 227-238.

Przypisy: (1) F. Brunètiere, *Discours de combat*, t. II. 1902, str. 274 nn. (2) Kirch, *Enchiridion fontium historiae ecclesiasticae antiquae*, nr 819. (3) Denzinger-Bannwart, *Enchiridion symbolorum*, nr 1800. (4) *Ćwiczenia duchowne*. Zakończenie. (5) Dostojewski mówi to o samym sobie w zapiskach osobistych, pod adresem autorów, krytykujących poglądy wyrażone w *Braciach Karamazow*. (6) *De Genève à Rome*. 1895, str. 190 i nn. (7) Abbé F. Klein, *Une expérience religieuse. Madeleine Sémer, convertie et mystique*. 1923, p. 256.

Na dzień 23 kwietnia

ŻYWOT

ŚWIĘTEGO WOJCIECHA

praskiego biskupa i męczennika (1)

X. PIOTR PĘKALSKI

ŚW. TEOLOGII DOKTOR, KANONIK STRÓŻ ŚW. GROBU CHRYSTUSOWEGO

Jeszcze przy schyłku dziewiątego stulecia, Czesi po większej części pogańskimi błędami olśnieni, podobnie jak i inne im pobratymcze ludy słowiańskie, ciosanym z drzewa lub z kamienia rzezanym bałwanom, oddawali tę cześć, która się jedynie Bogu, Stwórcy wszech rzeczy, należy. Aczkolwiek bowiem już w ostatniej ćwierci dziewiątego wieku część mieszkańców tej krainy za sprawą św. Metodego, arcybiskupa morawskiego, i Borzywoja, czeskiego książęcia, przyjęła była wiarę i religię chrześcijańską, to jednakże jedni z nich, tylko na pozór chrześcijanie, żyli obyczajem pogańskim, z utratą dusz swoich zbawienia; drudzy zaś, ogrzani łaską Bożą w nich działającą, dobrymi uczynkami i miłością cnoty, wśród narodu jaśnieli.

W tej okolicy czeskiej ziemi, w której korzystnie krzewiła się religia chrześcijańska, mieszkał wyższym urodzeniem świetny mąż, imieniem *Sławnik*, hrabia na Libiczu. Zamożny w sławę i majątek, zastępując panującego księcia w sądzeniu spraw niektórych zamków i miasteczek, bezstronnym sprawiedliwości wymiarem i miłosierdziem jednał sobie powszechną podwładnych miłość. Mąż ten znamienity, ze krwią panujących rodem swym złączony, albowiem św. Henryk cesarz (1002 – 1024) był bliskim jego wnukiem, lubo bogactwem złota i srebra

przewyższał wszystkich mieszkańców tej okolicy, jednak, wśród znikomych rozkoszy świata, wiernie chował ustawy prawa Bożego, chodząc ścieżką przez kapłanów wytkniętą; miły całemu ludowi, milszy ubogim przez jałmużnę. Pojął on żonę imieniem *Strzeżysławę*, równie możnego rodu, rzadkiej cnoty i pobożności niewiastę, która hojnie jałmużnę pomiędzy ubogich rozdawała, a co pojęła z nauki wiecznego żywota, tego czynami prawej chrześcijanki dowodziła. Oddaliła ona od siebie wszelką próżność strojów niewieścich; nie miała żadnego upodobania w złocie i kosztownych kamieniach, co niektóre niewiasty wysoko cenią; ale natomiast zdobiła umysł i duszę swoją cnotliwymi obyczajami i bogobojną rozmową, a ukrzepiała ją postem i ufną w Bogu modlitwą. Była ona matką ubogich, a sierót i wdów czułą opiekunką. Jaśniejące dobrocią i miłosierdziem cnoty Sławnika i Strzeżysławy, wysoko cenili i wysławiali wszyscy, nie tylko ludzie ubodzy, ale też i rodu szlacheckiego, czeskiej ziemi mieszkańcy.

Z tak cnotliwego i zacnego stadła urodziło się około 956 r. śliczne pacholę, które pięknym ciała kształtem nad bracią swoją celowało. Przy chrzcie dano mu imię Wojciech, co wojska pociechę znaczy. Nie wiedząc rodzice o wzniosłym jego powołaniu, ujęci jego urodą, pobłażali mu w dzieciństwie i wcześnie go do spraw świeckich przeznaczali. Ale to zboczenie w jego wychowaniu rychło sprostowała kaźń Boża. Ze zbytniego dozwalania pacholęciu jedzenia wszystkiego, dostało ono febry, z której wywiązała się tak wielka puchlina, że nabrzmiały dziecięcia brzuszek daleko przeszedł całego ciała objętość, a wzmagająca się choroba śmiercią mu groziła. Kiedy coraz większe dzieciny cierpienia odjęły strapionej matce wszelką pociechy nadzieję, a bolejący ojciec, z rozpaczy rzewne łzy ronił, w największym swoim strapieniu z korną prośbą udają się do Pana litości i miłosierdzia, a złożywszy na ołtarzu Matki Zbawiciela bliskiego zgonu synaczka, poświęcają go służbie i chwale Boga. Skoro to uczynili, Bóg ulitował się: sklęsł brzuszek, a dziecię ozdrowiało. Teraz dopiero bardzo żałowali rodzice, że mu przedtem pobłażali, i wysławiali Pana, który na poprawienie błędów ludzkich spuszcza niekiedy zbawienną chłostę. Rosło więc pacholę na pociechę rodziców swoich, rokując im piękne nadzieje mądrości i żywego pojęcia. Gdy się w Wojciechu władze umysłowe rozwijać zaczęły, nauczono go czytać, pisać i pierwszych zasad religii chrześcijańskiej. Nie pierwej też opuścił dom rodzicielski, aż się całego Psałterza na pamięć nauczył. Tak więc w szesnastej życia swojego wiośnie (972 r.) młody Wojciech opuścił dom rodzicielski, udając się do Magdeburga, dokąd go ojciec wyprawił, by tu w słynnej podówczas szkole przy klasztorze św. Maurycego ćwiczył się w naukach, umysł człowieka zdobiących, i w tym celu powierzył go pieczy Adalberta, miejscowego arcybiskupa. Mąż ten oświecony i pobożny, który swoje nauki świątobliwym utwierdzał życiem, przyjął młodego Wojciecha z

ojcowską miłością, a udzielając mu sakrament bierzmowania świętego, swoim go obdarzył mianem. Następnie posyłał go do szkoły miejscowej, której nauczyciel, filozof Oktryk, co nie mało uczonych ksiąg był napisał, chciwą oświaty młodzież sławą swą gromadnie do siebie znęcał. Pochopny do nauk Wojciech, a do tego bystrym pojęciem od Boga obdarzony, w gronie słynnych w przyszłości swoich towarzyszów, szczególniej Brunona, co potem w Prusiech odniósł męczeński wieniec (r. 1009); i głośnego z napisania przez siebie dziejów THIETMARA, mersburskiego biskupa, ucząc się ochoczo, przewyższał w naukach swych współuczniów, a nawykły w domu do modlitwy, i przy szkolnej pracy nią się ukrzepiał. Przez czas swego na naukach bawienia, unikał on towarzystwa płochej i lekkomyślnej młodzieży; a kiedy ta za rozrywką i rozpustą goniła, on, po przysposobieniu się na lekcję, wolne od pracy chwile skrycie poświęcał zwiedzaniu grobów śś. Męczenników, i tu w gorącej modlitwie niepojętą rozkoszą poił swą duszę; poczym, skoro wybiła nauki godzina, pierwszy przed mistrzem stawał. Dla ukrycia swych dobrych uczynków przed ludzką pochwałą, nawiedzał nocną porą ubogich, niewidomych i chorych, udzielając im wsparcie i pociechę. By zaś wrzący miłością umysł jego nie stygł w miłosiernych uczynkach, rodzice wszystkiego mu dostarczali, i nie szczędzili jego mistrzowi ujmującego oczy ludzkie złota i srebra; a tak drogo okupowali naukę syna swojego. Wojciech niezmordowany w swym zawodzie, wznosił się coraz wyżej po szczeblach pobożności i nauki do najwyższego cnotliwości szczytu. A kiedy mistrz wyszedł ze szkoły, a inni uczniowie bawili się skrycie na ustroniu, lub nasycali się łakociami, on tymczasem tajnie zażywał słodyczy w odmawianiu psalmów Dawidowych, skąd duchowną poił się rozkoszą, i podnosił swe serce ku Maryi w gorącej modlitwie. Mylne jest to zdanie niektórych pisarzy, jakoby Wojciech w swej młodości prowadził rozwiązłe życie, i że dopiero od śmierci Dytmara praskiego biskupa, wrócił na drogę cnoty.

Już dziewiąty rok trawił Wojciech na naukach w Magdeburgu, kiedy Otto II cesarz, mistrza tej szkoły Oktryka na kapelana swego powołał (981 r.). Wtedy to nasz Wojciech wrócił do Czech na łono swej rodziny. Tu zapisał swe imię pod sztandar bojowników Chrystusowych, i przy schyłku 981 r. przyjął kapłańskie święcenia od Thetarata, praskiego biskupa. Niedługo potem (983 r.) rzeczony biskup zakończył swe życie. Dotknięty śmiertelną chorobą, dobiegając doczesności kresu, wobec otaczających jego skonania łoże, między którymi i Wojciech się znajdował, ciężkie nad swym ubiegłym życiem rozwodząc żale: "biada mi, wołał, żem nie był takim, jakim bym chciał być teraz! Biada mi! straciłem wszystkie dni mego żywota, i żadnej nie mam nadziei pokuty. Ciało moje skazitelne, będzie pastwą robactwa, a komuż się dostaną znikome skarby moje? Zwodziłeś mnie, świecie omylny! Biada mi, żem milczał i słowa Bożego w całej jego potędze nie głosił powierzonym mej

pieczy owieczkom; by je błądzące na drogę prawą naprowadzić. Na wieki tego żałować będę. Owo, sroga śmierć otwiera mi drogę potępienia". To wyrzekłszy, z ciężkim westchnieniem wyzionął ducha. Wszyscy obecni rzewnie nad nim płakali, a blada bojaźń osiadła ich lica; szczególniej zaś trwożył sobą młody Wojciech, który podtenczas nieco wolniejsze wiódł życie, nie będąc jeszcze zahartowanym Chrystusa bojakiem. Tak przerażającym widokiem skruszony Wojciech, tej samej nocy wdziewa włosiennicę, posypuje swą głowę popiołem, obchodzi kościoły, wszystko co ma między ubogich hojnie rozdaje, a siebie oraz swe zbawienie w gorących modłach Bogu poleca.

Podczas, gdy ten młody pokutnik cały się skrusze oddaje, niektórzy tajemnie, drudzy zaś jawnie na biskupa wynieść go zamierzają. A kiedy osierocony lud po swoim pasterzu wraz z panującym księciem Bolesławem II zebrał się dla porozumienia, komu by owczarnię Pańską oddać należało, powszechność oświadcza, że nikogo słuszniej uczynić nie można biskupem, jak ziomka Wojciecha, w którym cnoty, zacność urodzenia, dostatki i zachowanie się z godnością są skojarzone; że on stateczny w swoim postępowaniu, Chrystusową owczarnią roztropnie zarządzać będzie. Podczas tego obioru w niedzielę, wszedł opętaniec do katedralnego kościoła w Pradze, szatan wołał przez usta jego na księży wypędzających go: boję się co dopiero obranego na biskupa. Nazajutrz z pierwszym dnia brzaskiem przybiega goniec z radosną wieścią, że wczoraj książę i lud jednozgodnie wybrali Wojciecha na praskiego biskupa.

Cesarz Otto II w powrocie z saraceńskiej wojny (r. 983) zamieszkał przez czas niejakiś w Weronie. Tu przybyli do niego w poselstwie od swego księcia Czesi, z prośbą, by wybranego biskupa zatwierdzić raczył. Przyjął łaskawie cesarz ich przełożenie, wręczył Wojciechowi pasterską laskę i pozwolił, żeby go właśnie wtedy bawiący tu arcypasterz moguncki, czcigodny Willigis, poświęcił na praskiego biskupa a swego sufragana. Po poświęceniu swoim (29 czerwca 983 r.), któremu cesarz był obecny, Wojciech w licznym orszaku panów czeskich wracał do swej ojczyzny.

Przybywszy pod Pragę, zsiadł z konia, na którym podróż odprawiał, i boso wszedł do miasta, kornym umysłem i skruszonym sercem modląc się do Boga. Z wielką radością wprowadzili go mieszkańcy do kościoła katedralnego, poczym zasiadł na biskupiej stolicy. W ciągu pasterskiego urzędowania swego, służył Wojciech Zbawicielowi pobożnie i wiernie, ale jeszcze pracowiciej dopełniał przepisów chrześcijańskich względem owieczek swoich.

Podzielił on swoje dochody biskupie na cztery części: z tych jedną obracał na ozdoby i sprzęty kościelne, drugą kanonikom przeznaczał, trzecią rozdawał między ubogich, a czwartą zaspokajał skromne potrzeby swoje. Przy tym w każde święto uroczyste żebractwo po jałmużnę do siebie przywoływał, i hojnie je obdarzał; nadto codziennie miewał u stołu swego po dwunastu ubogich, których na pamiątkę tyluż apostołów pokarmem i napojem nasycał. Rzadko kiedy, oprócz świąt uroczystych, w południe posiłkiem, w nocy zaś bardzo krótkim snem pokrzepiał swe ciało. Było wprawdzie w komnacie dla oka ludzkiego miękką pościelą i szkarłatem zasłane łoże; ale to bratu Radzimowi, lub utrzymywanemu przez Wojciecha ciemnemu od urodzenia kalece, na spoczynek służyło, sam zaś biskup na gołej ziemi w włosiennicy i na kamieniu pod głową, samotrzeć pokrzepiał się spoczynkiem w sypialni, w której, prócz wymienionych największych jego poufników, nikomu znajdować się wolno nie było. Przygłodny kładał się spać, i po krótkim śnie wstawał do gorącej modlitwy; a nie dozwalając rozżarzać się w ciele swoim podniecie rozkoszy, ścisłym stłumiał ją postem. Zwiedzał więzienia, a w nich wielką liczbę więźniów zbawienną nauką pocieszał i zasiłkiem obdarzał. Nikt nad niego nie wiedział dokładniej, w której połaci miasta i w którym domu leżało chore biedactwo, jaką słabością złożone, ile chorujących odzyskało zdrowie, a ile padło ofiarą śmierci.

Jeżeli mu zostawało trochę czasu od obsługi tych biedaków, wychodził na swe pole pod czas siewów, a siejąc własnymi rękoma, cieszył się z tego, że sam na chleb pracował. Stamtąd wróciwszy, klęczał u podwoi kościelnych, w długiej modlitwie, śląc do Boga gorące westchnienia. Każdego dnia, przed zaczęciem nabożeństwa w kościele, gorliwie kazywał, po nabożeństwie zaś zajmował się sprawami pokrzywdzonych wdów i sierót. Po tych zatrudnieniach resztę czasu obracał na czytanie ze swym duchowieństwem Pisma świętego i śpiewanie psalmów Dawidowych. Takimi uczynkami i budującym obyczajem we dnie i w nocy, jaśniał Wojciech na biskupim urzędzie; takimi też przymiotami przystoi jaśnieć każdemu, którego Zbawiciel do pasterskiego powołał urzędu: świetniej bowiem zdobi biskupa gruntowna pobożność i cnota, niźli owe błyskotki, za którymi niektórzy płocho uganiają.

Gdy pewnego dnia po komplecie modlił się w zamkniętym kościele, biedak do naga przez łotra złupiony, zbliżywszy się do podwoi świątyni, z żałosnym narzekaniem kołatać począł. Usłyszał to Wojciech, który już przedtem wszystko co miał, ubogim był rozdał. Nie mając nic, czym by go mógł opatrzyć, pobiegł do swego mieszkania, wysypał pierze z szkarłatnego wezgłowia, i uchyliwszy kościelnych podwoi, wręczył biednemu jedwabną poszewkę. A kiedy jego

pokojowiec postrzegłszy w komnacie wysypane pierze, w mniemaniu że to złodziej uczynił, badał o to inne biskupie sługi, Wojciech zakazał mu tego dochodzenia, mówiąc: że tego nie uczynił nieprzyjaciel, ale ten, co tego potrzebował, i zapewne na pokrycie swego niedostatku zabrał tę poszwę.

Mimo tych pięknych wzorów cnoty, którymi ten pasterz swym owieczkom przodkował, to jest: mimo wrzącej ku nim miłości, gorliwego opowiadania słowa Bożego; mimo roztropnego karcenia ich; mimo ojcowskiego politowania i wspierania; mimo pobożnej modlitwy i zdrowych rad; mimo tych wszystkich jego przymiotów, nieprzyjaciel zbawienia ludzkiego nie przestawał w owczarni jego siać nasion niezgody i przewrotności. Jakoż wielu z jego diecezjan kalało się pogańskimi obyczajami, dopuszczało się cudzołóstwa, żyło niepowściągliwie, i broczyło się okrutnymi zabójstwy. Nauka i żywy przykład gorliwego pasterza bynajmniej nie poprawiały tych grzeszników, którzy coraz większymi zbrodniami łamali przykazania Boże. Wojciech widząc w nich zatwardziałość serca, ciężko bolał nad ich nieprawością; a kiedy ani wielożeństwa między nimi powściągnąć, ani kapłanów w czystości utrzymać, ani zaprzedawaniu żydom chrześcijan, na których wykupno już mu dochodów zabrakło, mimo najgorętsze usiłowania, zapobiec nie mógł, rozpaczając o ich poprawie i ratunku, raczej złożyć dostojność biskupią umyślił, niż ze ściśnionym sercem patrzeć, jak bezowocny jest jego przykład i dobra nauka. Zajętemu tą myślą objawił się we śnie Zbawiciel, i poważnym głosem obudziwszy go, wstać mu rozkazał. Wtedy Wojciech, kto jesteś, zapytał, i czego mię budzisz? Na to Zbawiciel: Jestem Jezus Chrystus. Już raz byłem zaprzedany żydom, a oto powtórnie mię zaprzedają, a ty sobie zasypiasz! To objawienie opowiedział biskup swemu powiernikowi Willikonowi, przełożonemu kapituły, który okoliczność tę tak wyłożył, jak ją rozumieć należało: "Że, gdy chrześcijanie bywają sprzedawani żydom, to ta sprzedaż dolega Jezusa Chrystusa, którego członkami jesteśmy i ciałem Jego". Wtedy św. biskup wywiódł z głębi serca swojego żałość nieutuloną, rozważył wszystko bezstronnie, a bojąc się dłużej zostawać pomiędzy niepoprawnymi, w r. 989 po sześcioletniej pracy w owczarni swojej, udał się do Rzymu. Tu ze łzami prosił Jana XV właśnie w tym roku na stolicy Piotra św. posadzonego papieża, by go oświecił, co ma czynić z obłąkanymi owieczkami swymi, które dawszy swe karki w sromotne szatana jarzmo, zamiast prawości swym chuciom, zamiast ulegania przykazaniom Bożym, zgubnym rozkoszom hołdują; a tak nauce jego zapuścić korzeni w sercach swoich nie dozwalają. Na to odpowiedział mu papież: "Synu! skoro owieczki twoje nie chcą słuchać głosu twojego, chroń się rzeczy szkodliwych. Jeżeli nie możesz przynieść pożytku innym, sobie go nie utracaj. Zaczem radzę ci, żebyś się udał na spokojne ustronie i jął się życia bogomyślnego z tymi, którzy go ze zbawienną zażywają słodyczą". Tą uwagą zachęcony Wojciech, zawrzał

pragnieniem kosztowania rozkoszy świętych sług Bożych; umyślił więc uczynić rozbrat z rodzinną ziemią, a z miłości ku Zbawicielowi iść drogą ubogiego i ostrego żywota. Po tym postanowieniu rozdał pieniądze pomiędzy ubogich, i złożył w papieskie ręce swą biskupią władzę, by wolny od wszelkich obowiązków, swobodnie mógł się udać na pielgrzymkę do grobu Zbawiciela.

Właśnie w tym czasie mieszkała w Rzymie cesarzowa Teofania, matka Ottona III. Pobożna ta pani miała z senatorami szczególne staranie o ubogich, a prawe sługi Chrystusa szczerze miłowała. Dowiedziawszy się zatem, że Wojciech z pobożności udaje się na zwiedzenie świętego grobu Chrystusowego w Jeruzalem, kazała go skrycie do siebie przywołać, i dała mu na drogę tyle pieniędzy, ile brat Radzim unieść ich zdołał. Ale Wojciech następnej nocy rozdzielił je między ubogich, ani szeląga sobie nie zostawiwszy. Potem odesłał sługi swoje do ojczyzny, zmienił swe szaty, kupił osła do noszenia rzeczy, i samoczwart w dalszą puścił się drogę. Przybywszy w swej podróży do klasztoru benedyktyńskiego na górze Kasyno (*Monte Cassino*), acz nieznany, ze czcią jednak i gościnnie został przyjęty. Gdy już kilka dni tutaj przepędził, przyszedł do niego opat klasztoru, imieniem Manso z kilką światłych zakonników, i mówił mu, jakby z wyroku Boskiego: "że droga, którą obrał do osiągnienia szczęśliwości wiecznej, daleka jest od tej, która wiedzie do błogosławionego żywota. Aczkolwiek bowiem usunięcie od siebie i zdeptanie zawodnego szczęścia znikomego świata wielkiego umysłu jest udziałem, ciągłe jednak zmienianie miejsca nie jest rzeczą chwalebną; że tego, jakby ustalić się na jednym miejscu i swobodnie zażywać niebiańskiej pociechy, nie oni, ale nauka ich dawnych przodków, oraz wytrwałe tych mężów przykłady najlepiej go nauczą i o tym przekonają". Przestrogę tę, jakby z objawienia Bożego, przyjmując Wojciech, umyślił uczynić koniec swej pielgrzymce. Ale gdy się bije z myślami, Bóg przewlókł spełnienie jego zamiaru, by, zrazu zakosztowawszy trudu i goryczy, tym więcej potem lubował w swoim powołaniu. Gdy bowiem dnia jednego niektórzy ze starszych zakonników w rozmowie z nim z radości rzekli: "dobrze Ojcze, że z nami tu zostaniesz, i przyjąwszy nasz habit, miły Bogu żywot wieść będziesz; będąc albowiem biskupem, to i kościoły nasze poświęcać i naszych kleryków będziesz mógł wyświęcać". Obrażony tą ich mową Wojciech, azaliż, rzecze, za człowieka mnie macie lub za osła, żebym, złożywszy biskupstwo, po usunięciu się z mojej owczarni, teraz jakby biskup wasze świątynie poświęcał. Zrażony tym udał się do pobliskiego klasztoru *Vallis Lucis*, w którym św. Nil opat, jakby błyszcząca gwiazda na horyzoncie, jaśniał życiem pobożnym z liczną swą bracią, reguły Bazylego świętego. Ci zakonnicy pracą rąk swoich zaspokajali potrzeby życia. Przyszedłszy tu Wojciech po dwudniowej podróży przez gór manowce, rzucił się do nóg opatowi i prosił ze łzami, by go do swego przyjął zakonu. Ale opat wzbraniał się to uczynić z

obawy, żeby go za to wraz z bracią stąd nie wydalono. Radził mu zatem, by się wrócił do Rzymu, i dał mu list do swego przyjaciela Leona, opata klasztoru śś. Bonifacego i Aleksego, prosząc, żeby go przyjął do zgromadzenia swoich Benedyktynów. Skoro Wojciech przybył do Rzymu, stolicy świata chrześcijańskiego, udał się do Leona opata, z oświadczeniem mu pozdrowienia od Nila; przy czym mu też list od niego wręczył. Leon przeczytawszy pismo, zaczął ściśle doświadczać zakonnego Wojciecha powołania, to groźną twarzą, to przekładaniem mu surowej ostrości zakonnej, to na koniec śledził tajne myśli jego. Atoli ani ostre wyrazy, ani obraz twardego życia nie zmieniły jego postanowienia; ale raczej roznieciły w sercu jego żywszy zapał do tego zakonu. Wtedy opat postanowił zasięgnąć rady papieża, co by miał czynić z ukorzonym biskupem. Po odebraniu przychylnej odpowiedzi, oblókł Wojciecha w habit zakonny w Wielki Czwartek, i zapisał go w poczet braci św. Benedykta. I Radzim, nie tylko rodzony, ale i duchowy brat jego i wierny od młodości towarzysz, zagrzany Wojciecha przykładem, uczynił razem z nim śluby zakonne. Tak więc pobożny Wojciech od razu położył w swym sercu posłuszeństwa i pokory niewzruszoną podstawę, by na niej osadził świątobliwe życie zakonne, którego by ani burza pokus zachwiać, ani rozetlała żądza zniweczyć nie mogła. Tu, nie tylko własne usterki, ale nawet i myśli, jakie w nim budził nieprzyjaciel zbawienia, kornym sercem wyjawiał swemu spowiednikowi; a tak wyższy wytrwałością nad nawałę pokus, zdumiewającej się braci zakonnej przyświecał cnotą i pobożnością, jak jasna pochodnia na świeczniku stojąca.

Z jakimże to podziwem patrzyli wszyscy, kiedy mimo znakomitego swego pochodzenia, były biskup pełnił włożone na siebie przez opata obowiązki; a skrzętny w kuchennej usłudze, to nosił wodę w wiaderku, to znowu ochoczo obmywał braci swej ręce. Ale szatan nigdy nie przestaje zastawiać sideł nie tylko tajnie, ale i jawnie dla ułowienia sług Bożych, żarliwie drogą cnoty postępujących. Zdarzało się zatem, że niekiedy wypadały Wojciechowi z rąk i tłukły się gliniane naczynia wodą lub winem napełnione, które z polecenia starszych przynosił. Wtedy pokorny ten zakonnik, wstydem zalany, na klęczkach prosił przełożonych o przebaczenie. I tak razu jednego, kiedy niósł do stołu banię winem napełnioną, wywrócił się na nią, a uderzeniem jej o marmurową posadzkę takiego narobił łoskotu, iż się zdawało, że stłukł naczynie. I przeor, i bracia jego słyszeli ten upadek; ale opieka Boża zawstydziła tą razą nieprzyjaciela Wojciecha, bo i naczynie i wino ocalało, właśnie jakby się żaden wypadek nie był wydarzył. I tego pominąć nie można, że kiedy pewnego dnia przywieziono do klasztoru córkę niejakiego Jana, prefekta Rzymu, ciężką chorobą febry trapioną, ta, skoro Wojciech rękę swoją na niej położył, natychmiast za jego rozkazem zdrowie odzyskała.

Już piąty rok dobiegał od czasu, jak Wojciech przyjął był habit. Wtedy Willigis arcybiskup moguncki, pod którego metropolitalnym zwierzchnictwem zostawała diecezja praska, widząc ją przez tyle lat osieroconą, wyprawił do papieża poselstwo z prośbą o zwrócenie Wojciecha do Pragi. Gdy więc na to przełożenie papież zwołał w r. 994 starsze duchowieństwo w Rzymie na posiedzenie, podzielone były radzących zdania; posłowie bowiem domagali się powrotu biskupa, a opat i zakonnicy z żalem opierali się uwolnieniu Wojciecha ze swego zakonu. Atoli przeważyło żądanie posłów arcybiskupich albowiem Jan XV papież uznał potrzebę, by Wojciech wrócił do swych diecezjan, pod tym atoli warunkiem, jeżeli słuchać go będą i porzucą przewrotność swoją; w przeciwnym bowiem razie będzie się mógł od nich uchylić dla ocalenia wiecznego życia swego. Zasmucony opat, rad nie rad, uwolnił go z klasztoru; a gdy posłowie z wielką pociechą r. 994 do Pragi z nim wrócili, całe miasto uradowane wyszło naprzeciw niemu, a Prażanie podaniem ręki uroczyście przyrzekali mu poprawę błędów życia swojego. Ale niestety, niedługo potem, odświeżając sobie w pamięci dawną lubość i nierządy, wracali do nich haniebnie, i lekceważyli sobie gorliwe kazania, usilną pracę i ojcowskie zabiegi pasterza swego. Pomiędzy innymi występkami, zdarzył się smutny wypadek, że pewna małżonka jednego z Wrzeszowców dopuściła się cudzołóstwa, i o to publicznie była obwiniona. Mąż i rodzice zhańbionej żony barbarzyńskim obyczajem życie jej odjąć chcieli. Nieszczęśliwa skrycie uciekła do biskupa, a ten, by ją wybawić z rąk zawziętych, zamknął ją w klasztorze zakonnic pod imieniem św. Jerzego, silnymi otoczonym murami, i ukrył w kościele za ołtarzem, a klucz od świątyni powierzył zaufanemu dozorcy, mniemając, że niewiasta znajdzie tu pociechę w swym nieszczęściu i za ołtarzem życie swoje ocali. Ale około północy, gromada mścicieli ze zbrojnymi ludźmi przyszła do biskupiego mieszkania, z groźbą i upornym krzykiem szukając Wojciecha, który, jak mówiono, przeciw przykazaniu Bożemu i prawu małżeństwa ukrył cudzołożnicę. Biskup usłyszawszy hałas, przerwał swe nocne modły, i wychyliwszy się z tajnego miejsca, polecił się modlitwie swych braci, a pożegnawszy się z nimi, gotowy na męczeństwo, wyszedł z mieszkania. Skoro się zbliżył do zbrojnego tłumu, rzekł do rozhukanych: "jeśli mnie szukacie, to jestem". Na to jeden z tej tłuszczy: "nie ciesz się, rzecze, nadzieją męczeństwa, bo na nas by grzech spadł, a ty byś się okrył chwałą; ale wiedz o tym, że jeżeli nie wydasz nam tej nierządnicy, pomścimy się na braci twojej, na ich żonach, i na całej rodzinie". Wśród tego szału zjawił się przeniewierca pieniędzmi ujęty, a uprowadziwszy ich z tego tłumu cichaczem, wiódł do świątyni, gdzie nieszczęśliwa była ukryta, i wskazał tego, któremu klucz był powierzony. Pochwycony przez rozhukaną zgraję dozorca nakrytej niewiasty, zagrożeniem utraty własnego życia, zmuszony został do wydania jej. Na próżno nieszczęśliwa oburącz jęła się świętego ołtarza; rozjuszony

tłum porwał ją gwałtem i żądał, by od ręki swego męża zginęła. A kiedy ten człowiek prawy nie chciał tego uczynić, nikczemny jego poddany mieczem uciął jej głowę.

Na wiadomość o takiej zbrodni, rzewnie zapłakał św. biskup, a widząc, że ani mową, ani nauką, ani żadnym środkiem nie mógł zapobiec coraz bardziej szerzącej się zarazie występków, którymi mazał się ten lud bezbożny, postanowił znowu usunąć się z biskupstwa. Złożył zatem swą laskę pasterską i umyślił wrócić do Rzymu, by tam używał błogiego spokoju w klasztornym ustroniu; pierwej atoli, bo na początku 995 r. udał się do Węgier dla opowiadania krajowcom świętej ewangelii.

Chartwik biskup ratyzboński, pisze w życiu św. Stefana króla węgierskiego, że Giejzie, ojcu jego, gorliwemu o rozkrzewienie religii chrześcijańskiej w swym królestwie, ukazał się we śnie rzadkiej urody młodzieniec i pocieszył go, mówiąc: "przybędzie do ciebie mąż w duchownym posłannictwie, przyjmijcie go więc ze czcią i do nauki jego szczerze przyłóżcie serca wasze". Po upływie dni kilku odebrał król list od Wojciecha, biskupa praskiego, z oświadczeniem, iż przybywa do niego dla nawracania jego ludów. Z wielką pociechą oddał cześć Bogu Giejza za to zdarzenie, wyszedł naprzeciw Wojciechowi z niektórymi wiernymi i przyjął ze czcią apostoła, o którego przyjściu był we śnie uwiadomiony. Na wezwanie króla węgierskiego lud pobożnością i nauką św. biskupa zagrzany, gromadnie się cisnął do przyjęcia chrztu świętego. Stawiano naprędce na wielu miejscach kościoły, a Wojciech ochrzcił syna Giejzy i dał mu na imię Stefan. Przy schyłku 995 roku udał się ten apostoł z Węgier do Rzymu, i tu zamieszkał w klasztorze św. Bonifacego. Nadzwyczajnie radzi byli jego powrotowi ojcowie zakonni, a opat uściskał go serdecznie i pierwszym po sobie przełożonym uczynił. Ale Wojciech, aczkolwiek wyższym darem rzeczy duchownych ubogacony, tylko najmniejszym ich sługą być pragnął. Tak opat jak i zakonni bracia mawiali o nim, że i w klasztorze i za jego murami, nim jeszcze został męczennikiem, świętym już był człowiekiem. Zbawiciel, by objawił Wojciechowi, jak miłe były mu jego zasługi, ukazał mu we śnie dwa szyki świętych Bożych w niebie: jeden w purpurowe, drugi zaś w śnieżne przybrany szaty, a każdy różnej postaci miał oddzielną zasługę i właściwą nagrodę, obu zaś pokarmem i napojem była wieczna Stwórcy chwała. Podczas tego widzenia usłyszał Wojciech głos: "W obydwu tych szykach będziesz policzony, będziesz miał uczestnictwo stołu i stosowny zaszczyt". Pobożny biskup opowiedział opatowi to swoje widzenie, które podobnie jak św. Paweł przez skromność i pokorę nie do siebie, ale do kogoś innego stosował.

W tym właśnie czasie Otto III, król Franków, doszedłszy dojrzałego wieku, przybył do Rzymu dla odprawienia uroczystego aktu swej koronacji. Młody ten i religijny monarcha, zawsze wysoko cenił i poważał prawdziwie pobożne sługi ołtarza, i miał około nich wielkie staranie; dlatego też bardzo często rozmawiał w Rzymie z Wojciechem, mieszkającym w klasztorze św. Bonifacego, i w szczerej zażyłości chętnie go słuchał we wszelkiej udzielanej sobie doradzie. Wraz z Ottonem III na początku 996 r., zjechał był do Rzymu na jego koronację i Willigis, arcybiskup moguncki. Ten uczynił Grzegorzowi V nowo obranemu papieżowi przełożenie, z usilną prośbą, by Wojciecha do jego diecezji wyprawiono. Wywodząc żądania swego słuszne, bo na ustawach kościelnych oparte przyczyny, mówił arcybiskup wobec zebranego synodu w Rzymie: "że to jest ciężkim grzechem, że kiedy wszystkie kościoły mają swych pasterzy, sama tylko praska katedra smutnym sieroctwem jest dotknięta". I po wyjeździe z Rzymu Willigis pisał z drogi, i mocno nalegał o to tak długo, aż papież naradziwszy się z kardynałami, przyrzekł mu, że niezawodnie wróci Wojciecha do jego owczarni. Z tej więc przyczyny biskup zakonnik niedługo cieszył się klasztorną a miłą sobie zaciszą. Myśl o przymuszonym do niewdzięcznych diecezjan powrocie, ściskała bolesnym smutkiem serce pobożnego męża, bo widział daremny swój powrót do ludu twardego karku i zawziętego serca. Tym tylko koił swą żałość, że Grzegorz V papież, czyniąc zadosyć domaganiom się mogunckiego arcybiskupa w powołaniu Wojciecha, by do Pragi powrócił, na usilne przełożenie przyzwolił na to, że gdyby Czesi i teraz niechętnie go przyjęli i nauk jego nie słuchali, wolno mu będzie udać się w kraje pogańskie, by tam opowiadał słowo wiecznego zbawienia. Tak więc po raz drugi i ostatni w r. 996 opuścił Wojciech zawsze miłe sobie klasztorne ustronie, i nie bez wielkiego żalu rozstał się z zakonnikami. Stąd udał się za Alpy ze czcigodnym Notkierem biskupem. Po dwumiesięcznej blisko podróży przybył Wojciech do Moguncji i tu jako największy cesarski poufnik bawił na dworze Ottona III, który go dla jego pobożności wielce umiłował, bo św. biskup dniem i nocą w religijnych rozmowach rozżarzał w jego sercu miłość Bożą i nawodził mu na pamięć zbawienne uwagi, iż "aczkolwiek był potężnym monarchą i wyobrazicielem władzy Boskiej na ziemi, powinien był jednak pamiętać, że jest człowiekiem śmiertelnym i ojcem ludów swemu berłu poddanych; żeby zatem bezstronnym i sprawiedliwym był ich sędzią, żeby często czynił rachunek sumienia swojego, bo według tego będzie musiał sprawić się kiedyś Stwórcy swemu z władzy sobie powierzonej i odbierze od niego niecofniony wyrok nagrody lub kary". Nadto zachęcał on cesarza do wzgardy rzeczami tego świata, które kruche i niestałe, na kształt dymu kłębią się przed oczyma człowieka i wnet znikają. Pobożny monarcha chował w głębi serca zbawienną biskupa naukę.

Podczas swego na cesarskim dworze bawienia, Wojciech wiedziony ujmującą serca prostotą i głęboką pokorą, jakby sługa wszystkich dworzan, najgrubsze czynił usługi. Jakoż, kiedy ci miłego używali spoczynku, on, zacząwszy od odźwiernego aż do cesarza, wszystkich obuwie obmywał wodą, a tak oczyszczone na swym ustawiał miejscu. Nie przestając na tym, i inne w pałacu pełnił posługi, z których najpodlejsze, przez pokorę najchętniej wykonywał. Ta jego szczególna pokora długo się ukrywała, aż go wyśledził niejaki Wolfariusz dworzanin cesarski. Bawiąc u Ottona, miał Wojciech pewnej nocy sen, w którym mu się zdawało, jakoby przybył do zamku swego brata. Tu na środku dziedzińca stał pałac prześlicznej budowy, a ściany jego i dach lśniły się jasną białością. Wewnątrz gmachu widział on dwa łoża stojące, jedno dla siebie, drugie dla brata Radzima przysposobione; oba pięknie i bogato zasłane; ale dla niego przeznaczone łoże było wspanialsze, albowiem całe purpurą i jedwabną materią zdobne, w głowach zaś prześlicznym złotogłowiem było pokryte; a u góry znajdował się złoty napis: "Ten upominek czyni ci królewna". (*Munus hoc donat tibi filia regis*). Wojciech opowiedział to widzenie swoim przyjaciołom. Ci wyłożyli je w ten sposób, że według zrządzenia Chrystusa Pana poniesie męczeństwo za wiarę świętą; i że owa królewna, dająca mu królewskie upominki, wskazuje Panią niebios, Najświętszą Pannę Maryję. Nieskończenie uradowany z tego widzenia, kornym sercem dziękował za to Panu Bogu i Bogarodzicy. W tym czasie zwiedził pieszo w Turonie grób św. Marcina, a w Paryżu św. Dionizjusza. Był też i we Floriaku u zwłok św. Benedykta, gdzie ten sługa Boży tysiącem łask słynie; a oddawszy świętym szczętom cześć należną, pełen radosnych uczuć, wrócił do cesarza. Potem w poufnej z Ottonem rozmowie, opowiedział mu cel swej podróży, i co, idąc za natchnieniem wszechmocnego Boga, uczynić zamyśla; a tak, po wzajemnym serdecznym uściśnieniu się, z boleścią serca rozstał się z nim na zawsze.

Poświęcając swe życie Wojciech dla miłego Jezusa, z polecenia arcybiskupa mogunckiego puścił się w drogę do rozhukanych diecezjan swoich. Przeczuł on to, że nie będą słuchali jego rady i nauki; ale z posłuszeństwa wykonał nakaz, tym się pocieszając, że jeśli mu swoi powolni nie będą, uda się do niewiernych narodów, by tam siać nasiona wiary świętej, lub też wieniec męczeński u nich osiągnąć. Stanąwszy na granicy czeskiej, dowiedział się, że ten naród zbrodniczy, do którego wracał, zbroczył swe ręce krwią jego rodziny; albowiem Czesi w szalonej swej wściekłości wymordowali bracią jego: Sobobora, Spitymira, Bohusława i Czasława wraz i ich żonami i niewinnymi dziećmi, krewnych zaś i wiele szlachty poranili, i całe hrabstwo libickie pożogą i mieczem zniszczyli. Tylko najstarszy brat jego, imieniem Poraj, wysłany od cesarza Ottona w wyprawie wojennej przeciw poganom, bawiąc przy Bolesławie Chrobrym, ocalał w czasie tego zniszczenia.

Dowiedziawszy się Chrobry o wymordowaniu całej rodziny św. Wojciecha, z miłości ku niemu pocieszał Poraja brata jego. Okrutny ten wypadek zagrodził drogę Wojciechowi do Czech, który nie spodziewając się żadnego pożytku ze swego powrotu, postanowił udać się do Bolesława książęcia polskiego. W tym celu puścił się przez Węgry do Krakowa z bratem Radzimem nieodstępnym swym towarzyszem. Tu przez niejaki czas kazywał na rynku krakowskim, gdzie później po jego męczeństwie Krakowianie na pamiątkę, jak pisze DŁUGOSZ pod r. 995, wystawili mały kościółek pod jego imieniem poświęcony, który i dotąd stoi. Wielce go to ucieszyło, że Polaków z Czechami i język i bratnia krew łączyła. Niedługo bawiąc w Krakowie, przy schyłku r. 996 przeniósł się do Gniezna. Tu Bolesław I książę polski, syn Mieczysława I tudzież przedniejsi panowie przyjęli go ze czcią należną. Potem wysłał poselstwo do Czech, oznajmując Prażanom, że z polecenia Grzegorza papieża i arcybiskupa mogunckiego ma do nich wrócić; i dlatego pytał się ich, czyli go przyjmą i poprawią niecne swe obyczaje? Tylu zbrodniami zmazani Czesi odpowiedzieli mu słowy pełnymi niechęci i grozy: "że są grzesznikami i narodem twardego karku, że takiego biskupa, jakim jest on, święty, ulubieniec Boży i prawdziwy Izraelita, nie ścierpią mieszkańcy i gmin bezbożny; że pojmują, co ta jego udawana pobożność w sobie ukrywa; że się boją, by ich nie karał za krzywdę jego braci i rodzinie wyrządzoną; że zatem nie masz ani jednego, któryby go chciał przyjąć". Tak zawodna odpowiedź rozbudziła radość w smętnej Wojciecha duszy, posępność znikła z jego oblicza; i święty Apostoł wylewał swe serce przed Bogiem, a dziękując Mu że go uwolnił od więzów pasterskich, "Tobie, rzekł, Panie złożę teraz ofiarę chwały".

Wojciech zabawiwszy w Gnieźnie przez zimę, wyjawił Bolesławowi I wolę i zamiar posłannictwa swojego, że, kiedy Czesi nie chcą go przyjąć, to pojedzie opowiadać poganom wiarę świętą. Właśnie graniczył z Polską naród pruski, wtedy jeszcze pogrążony w ciemnościach pogańskich błędów i zamiast prawdziwego Boga, stworzone przezeń słońce, księżyc, ogień, zwierzęta, lasy i gady czczący. Zawrzało serce Wojciecha silnym pragnieniem opowiadania ewangelii temu narodowi; by tam albo powywracał jego obmierzłe bałwany, albo też poniósł męczeństwo za wiarę świętą. W miesiącu marcu r. 997, gdy już rzeki puściły, po Mszy świętej Bolesław z wielkim żalem wyprawił go Wisłą na statku, przydawszy mu dla bezpieczeństwa trzydziestu zbrojnych ludzi. – Puścił się Wojciech w tę niebezpieczną podróż z Radzimem bratem i Benedyktem kapłanem, z pełną ufnością w Bogu, którego słowo zbawienia i światło prawdziwej wiary poganom opowiadać zamierzył. W towarzystwie przydanego sobie zbrojnego orszaku przypłynął Wisłą najprzód do Gdańska, gdyż wówczas granice Polski Bałtyku dotykały. Tu miłosierny Bóg pobłogosławił jego przybyciu, bo lud zbiegał się

gromadnie dla przyjęcia chrztu św., a on odprawiając Mszę świętą, ofiarował Chrystusa Bogu Ojcu, któremu niedługo siebie samego miał złożyć w ofierze. Stąd postanowił udać się ku Prusom wschodnim; dlatego też nazajutrz po nabożeństwie, ze łzami pożegnał nawróconych, a udzieliwszy im błogosławieństwo, wsiadł z orszakiem na statek i płynąc ku ujściu Wisły, zmierzał na otwarte morze, i wnet zniknął z ich oczu na zawsze.

Po szybkiej żegludze, przy pomyślnym wietrze, przybił do brzegów Hafu. Wysiadłszy na ląd, statek i zbrojnych towarzyszy odesłał z powrotem, sam zaś z Radzimem i Benedyktem tutaj pozostał. Obawa, że zbrojni ludzie, z sąsiedniego narodu, który z Prusakami częste wiódł wojny, i dlatego był im groźny i obmierzły, nie tyle się do jego bezpieczeństwa przyczynią, ile zaszkodzą jego powodzeniu w pobożnej pracy, budząc w mieszkańcach szkodliwe podejrzenie, spowodowała, jak się zdaje, Wojciecha do odesłania tego orszaku. Tak więc pozbawieni wszelkiej pomocy ludzkiej, z sercem pełnym ufności w Zbawiciela opiece, wstąpili na wysepkę krętą rzeką oblaną i z wejrzenia kolistą. Było to, jak z opisu wnosić wypada, w bliskości pod owe czasy wcale odmiennego ujścia Pregli do Fryszhafu, naprzeciwko dzisiejszego Brandenburga. Skoro mieszkańcy usłyszeli o celu zjawienia się przybyszów, zbiegli się tłumnie, by ich stąd wypędzić. Nieustraszony Wojciech i obojętny na krzyk zebranej zgrai, śpiewał pobożnie psalm, kiedy wtem jeden z tłumu, przy nim stojący silnie uderzył go wiosłem między łopatki. Psałterz wysunął się z rąk modlącego się, a Wojciech jakby nieżywy padł na ziemię; atoli wnet zebrawszy swe siły, z serdecznym westchnieniem te wyrzekł słowa: "Dzięki ci Panie, że dla ukrzyżowanego Zbawiciela choć jeden raz odnieść zasłużyłem".

Potem przeprawił się na drugą stronę rzeki. Było to w sobotę. Pod wieczór nadszedł dziedzic wioski i Wojciecha wraz z jego towarzyszami wziął do swej osady. I tu zbiegł się ciekawością wiedziony tłum z okolicznych mieszkańców. Pytano się przychodniów, kto by byli? skąd przyszli? i dlaczego tu wylądowali? Na to Wojciech: "Jestem Słowianinem. Na imię mi Wojciech. Przedtem biskup, obecnie zakonnik, teraz z natchnienia Bożego jestem waszym Apostołem. Powód mej podróży jest wasze zbawienie, abyście porzuciwszy wasze głuche i nieme bałwany, poznali Stwórcę swojego, który sam tylko jest jedynym Bogiem, a krom Niego nie masz innego Boga; abyście uwierzywszy w imię Jego, dostąpili wiecznego żywota i zasłużyli sobie na nagrodę w niezmiennym niebieskich rozkoszy przybytku". Zaledwie Wojciech wyrzekł te słowa, aliści wściekła tłuszcza jęła bluźnierczą gębą miotać zelżywość tak na niego, jak i na Boga, którego jej zwiastować przyszedł; a wielce rozjuszona groziła mu śmiercią, tupała, pałkami w ziemię biła, to nimi wywijała nad jego głową, i we wściekłym zapędzie krzyczała: "Twoje szczęście, żeś

aż dotąd bezkarnie przyszedł, ale jeżeli się spiesznym stąd odejściem nie uratujesz, to wnet tu zginiesz. Nad nami i nad całym tym krajem, na którego krańcu mieszkamy, jedno panuje prawo, i jednym obyczajem wszyscy żyjemy. Wy zatem, co według innego, dla nas obcego żyjecie prawa, jeżeli się stąd jeszcze tej nocy nie wyniesiecie, jutro zginiecie". Na takie groźby pobożni apostołowie wsiedli pod noc do łódki, a płynąc pod wodę, przybyli do południowo zachodniego Zemlandii wybrzeża, i tu w pewnej wiosce przez pięć dni zabawili.

Właśnie w czasie ich tu bawienia sen, który miał Jan Kanaparz klasztoru benedyktyńskiego w Rzymie, gdzie przed laty Wojciech przywdział był św. Benedykta sukienkę, tudzież senne Radzima widzenie, zwiastowały bliski kres życia pruskiego apostoła. Jakoż Kanaparzowi śniło się, że widział dwa prześcieradła, tak białe jak śnieg, czyste bez skazy, z nieba na ziemię spadające, a następnie po jednym mężu na sobie unoszące, i oba szczęśliwym biegiem ponad obłoki i gwiazdy wzbijające się. Jednego z uniesionych mężów niewielu znało z klasztornej braci; drugim zaś był znany im Wojciech. Skoro zakonnik objawił opatowi Leonowi swoje widzenie, ten mu je tymi objaśnił słowy: "Wiedz o tym kochany synu, że przyjaciel nasz Wojciech chodzi z duchem Bożym, i że szczęśliwym skonem zakończy swe życie". Radzimowi zaś, gdy po przewiezieniu się na drugi brzeg rzeki sennego używali spoczynku, śniło się, że widział we śnie na ołtarzu stojący złoty kielich do połowy winem nalany, a nikt go nie strzegł. Ale skoro się zbliżył do ołtarza dla skosztowania wina, zastąpił mu jakiś sługa ołtarza, i z powagą wstrzymał go od dotknięcia się kielicha, który, jak mówił, dla Wojciecha na jutro był przygotowany. Na te słowa przebudził się Radzim i ze drżeniem opowiedział Wojciechowi to senne widzenie. Na to Wojciech: "niechaj Bóg, rzecze, według swej świętej woli spełni to widzenie; ale zawodnym snom wierzyć nie należy".

Z pierwszym dnia brzaskiem puścili się w drogę, którą sobie śpiewaniem psalmów skracali. Tak idąc przez lasy i dzikie knieje, około południa wyszli na otwarte i rozległe pole. Tu Radzim rozłożył na trawniku nakrycie do służby Bożej i odprawił Mszę świętą, a Wojciech przyjął z rąk jego świętą komunię; poczym przejadł nieco, aby po krótkim śnie do dalszej pokrzepił się podróży. Potem pobożni apostołowie udali się na spoczynek, Wojciech w odległości na rzut kamienia od towarzyszów oddalony. Ale tu straszne niebezpieczeństwo wisiało nad ich głowami. Nie wiedząc o tym, przedarli się przez las święty i wyszli na święte pole, które się stąd aż do Romowe ciągnęło. I tu jeszcze gdzie spoczywali, była święta ziemia, po której, według praw krajowych, niepoświęconym a tym bardziej chrześcijanom kroczyć nie było wolno (2). Tak więc pobożni misjonarze według mniemania ludu pogańskiego dopuścili się zbrodni, za którą nie było przebaczenia, i tylko śmiercią zmazana być mogła.

Kiedy, nie wiedząc o tym, pobożni wędrowcy bez najmniejszej troski sennego używali spoczynku, nagle przeraził ich dziki krzyk. Rozjuszony tłum napadających pogan uderzył na śpiących, otoczył ich i z dziką wściekłością pokrępował. Wtedy Wojciech stojący naprzeciwko skrępowanych towarzyszów z nieustraszonym sercem pocieszał ich, mówiąc: "Nie smućcie się bracia! wszak wiecie, że to ponosimy dla imienia Pańskiego, którego moc przewyższa wszelką siłę, którego piękność cudniejsza jest nad wszelkie kształty, a niewysłowiona Jego potęga i dobroć jest nieograniczona. Cóż może być wznioślejszego, co piękniejszego, jak umierać z rozkoszą za słodkiego Jezusa?". Gdy tak Wojciech przemawia do swych braci i towarzyszów ucisku, wypada ku niemu z dzikiego tłumu zagorzały ofiarnik *Siggo* i silnie topi włócznię w piersiach jego; a tak jako kapłan bałwanów i przywódca krwiożerczej zgrai zadaje świętemu cios śmiertelny. Olśniona wściekłością tłuszcza i zagrzana jego przykładem, rzuca się na apostoła i przeszywa go siedmią włóczniami. Leje się niewinna krew z zadanych ran śmiertelnych, a Wojciech, gdy mu się ręce rozwiązały, z konającym wzrokiem wznosi je ku niebu, korną modlitwą błaga Zbawiciela o swoje i swych zabójców zbawienie, pada rozkrzyżowany na ziemię i Bogu ducha oddaje dnia 23 kwietnia 997 roku. Tak więc ta święta dusza przelaniem krwi za wiarę świętą uwolniona z cielesnych więzów, osiągnęła od Chrystusa wieniec męczeński, którego zawsze i gorąco pragnęła.

Na wieść o tym wypadku zbiega się zewsząd rozhukana zgraja, rzuca się na zabitego zwłoki, dla nasycenia swej zemsty odcina członki i głowę, a wetknąwszy ją na żerdź, zostawia zabitego szczątki, i z okrzykiem wściekłej radości do swych odchodzi siedzib. Wierni zabitego towarzysze Radzim i Benedykt skrępowani i przez zabójców uprowadzeni, gdy im się z rąk pogańskich wydobyć udało, pospieszyli do Polski, niosąc Bolesławowi smutną wieść o żałosnym swego nauczyciela zgonie. Zawiadomiony Bolesław o śmierci świętego męczennika, postanowił zwłoki zabitego swego przyjaciela, jako drogi skarb u Prusaków, wykupić. Gdy się ci o tym dowiedzieli, wyprawili do księcia polskiego posłów z oznajmieniem, że wydadzą żądane ciało, ale za ilość srebra ciężkości jego wyrównywającą. Zaczem wysłał książę kapłanów i rycerzy z pieniędzmi do niewiernych Prusaków, którzy przybywszy do Romowe stołecznego ich miasta, kazali sobie pokazać ciało zabitego Wojciecha, a przekonawszy się o tożsamości zwłok męczennika, złożono je na wadze, ale te z Boskiego zrządzenia tak lekkie były, że bardzo mało srebra zaważyły (3). Skoro je przywieziono do Polski, wyszedł naprzeciw nim Bolesław wielki ze wszystkim duchowieństwem i przedniejszymi pany, i z wielką czcią wobec niezliczonego ludu, złożył je najprzód w Trzemesznie, w kościele xx. kanoników Augustyna świętego, a następnie z obawy, żeby podczas zaszłej z poganami wojny przez nieszczęśliwe wypadki wojenne nie zostały

uronione, do Gniezna je przeprowadził (4). Wnet też Bóg wszechmocny rozgłosić raczył licznymi łaskami swymi tak święte życie jak i śmierć męczennika Wojciecha. Doszła o tym wieść i do cesarza Ottona III podówczas we Włoszech bawiącego. Pobożny monarcha, który żyjącego biskupa wielce poważał i miłował, postanowił nawiedzić w Gnieźnie jego grób cudowny. Było to właśnie w roku 1000 po narodzeniu Chrystusa Pana, kiedy Otto w Wielkim Poście udał się w tę pielgrzymkę, jadąc z Magdeburga na Syrbię, której jedna część Milzawią nazywała się (5).

Gdy się do Polski zbliżył, wyjechał naprzeciw niemu Bolesław i przyjmował go z taką wspaniałością, że współczesny dziejopis niemiecki THIETMAR, aczkolwiek książęciu i narodowi polskiemu wielce niechętny, powiada, że "tego ani wyrazić ani opisać nie podobno" (6). Przyprowadzony cesarz do Poznania, postanowił iść pieszo i boso aż do samego Gniezna. Hojność Bolesława usłała mu drogę różnych farb materiami od zamku Ostrowa aż na miejsce (7). Tu zbliżającego się cesarza przyjęło całe duchowieństwo i panowie, mając na czele Ungera, poznańskiego biskupa. Wszystkie drogi, którymi przechodził, napełnione były uszykowanym wojskiem na różne hufce podzielonym, a różnością odmiennych kolorów znakomitym. Za nim stała na równinie licznie zgromadzona narodowa szlachta, na różne także orszaki podzielona; a w najbogatsze szaty i futra drogie złotogłowiem powleczone odziana (8). Ujrzawszy cesarz z daleka upragnione miasto, zsiadł z konia, i z pokory szedł pieszo i boso. Wprowadzony do świątyni przez biskupa, pobożny monarcha padł przed szczętami świętego męża, gorąco ze łzami błagając, by się za nim u Zbawiciela przyczynić raczył (9). W czasie swego tu bawienia cesarz za zezwoleniem Sylwestra II papieża, na żądanie Bolesława, ustanowił arcybiskupstwo gnieźnieńskie, a dla uczczenia pamięci św. Męczennika, brata jego Radzima posadził na tej nowej stolicy (10). Wtedy też Otto III uczynił królem Bolesława Wielkiego i obdarzył go dzidą św. Maurycego, jako królewskiej władzy godłem, oraz gwoździem krzyża świętego, które dotąd w skarbcu kapituły krakowskiej są zachowane. Król polski, wywzajemniając się, ofiarował cesarzowi ramię ze szczętów Wojciecha świętego (11). Na koniec Otto III, by należycie uczcił pamięć swego niegdyś wielkiego poufnika, wzniósł dla jego zwłok ołtarz w arcykatedrze gnieźnieńskiej, w którym je z wielką wspaniałością złożył (12). Dopełniwszy swych pobożnych ślubów, hojnie, a co sobie najwięcej cenił, trzemaset pancernymi jeźdźcami od polskiego monarchy udarowany, cesarz powrócił do Magdeburga, dokąd go Bolesław ze swym świetnym odprowadził orszakiem (13).

W czasie tej uroczystości, czyli też później, arcybiskup Radzim udzielił klasztorowi trzemeskiemu, w którym poprzednio święty Męczennik był złożony,

kilka ułamków jego drogich szczętów, które aż dotąd w tym kościele z należną czcią są zachowane (14).

Tak przeszło ćwierć wieku drogie te dla pobożnych relikwie spoczywały w ołtarzu, w którym przez cesarza Ottona były złożone, bo dopiero roku 1038 w czasie napadu na Polskę Brzetysława, czeskiego książęcia, który wtedy i Gniezno złupił, dla ocalenia ich, z miejsca dotychczasowego spoczynku uchylone zostały. Kiedy bowiem Bóg wszechmocny, powściągając świętokradzki Czechów zamach, dotykał ich ślepotą i odrętwieniem, ilekroć do kościoła napad czynili, ci z polecenia przywódcy grabieży, swego biskupa Sewera, dla przebłagania Stwórcy przez trzy dni pościli i skruchę czynili, a tak przez ten czas bez nowej obrazy Boga do świątyni Pańskiej zbliżać się nie śmieli (15). Pobożni kapłani miejscowi korzystając z dogodnej chwili, wyjęli z ołtarza świętego szczęty i w skrytym złożyli je miejscu. Tu dla ciągłych wojen i niepokojów domowych, długi czas je chowano; aż na koniec w r. 1127 d. 23 lutego przez Jakuba ze Żnina, arcybiskupa gnieźnieńskiego, z tajnego ukrycia wydobyte, ku powszechnej czci na jawi złożone zostały (16). Tak więc chciwi łupu i zdobyczy Czesi pod przywództwem swego księcia i bezbożnego biskupa Sewera, ciało brata Radzima zamiast rzeczonych relikwij zabrali, i wraz z innymi zwłokami i bogatymi łupy do Pragi je uwieźli (17).

Mimo tak długiego ukrywania świętych Męczennika szczętów, nie ustawała szczególna cześć dla naszego patrona, którą polscy monarchowie obyczajem ówczesnym i na bitych przez siebie pieniądzach uwiecznić pragnęli. Wszakże już za Władysława I (1080 do 1102 znajdują się monety z wizerunkiem św. biskupa i napisem *Voceikus*. Jego syn Bolesław III ze szczególną pobożnością odprawiał w r. 1130 w czasie Wielkiego Postu pokutną do grobu Wojciecha pielgrzymkę; bił pieniądze z głową tegoż biskupa i napisem: *Sanctus Adalbertus* (18). Ta okoliczność jest niezbitym dowodem prawdziwości podania dziejopisów tak naszych, jak i czeskich, że głowę tego męczennika za panowania tego księcia r. 1127 w Gnieźnie wynaleziono. I za jego następców znajdują się denary bite z wizerunkiem tego świętego (19).

Żywoty Świętych Patronów polskich, napisał X. Piotr Pękalski Ś. T. Dr. Kan. Stróż Ś. Grobu Chrystusowego. Z ośmią rycinami. Kraków 1862, ss. 94-125.

Przypisy: (1) Niniejszy żywot Wojciecha świętego skreślony jest według podania JANA KANAPARZA benedyktyna, klasztoru śś. Aleksego i Bonifacego w Rzymie, gdzie Wojciech przedtem zakonne wiódł życie. Jest to ważna o tym Świętym piśmienna wiadomość, tym szacowniejsza, że ona, jak PERTZ nadmienia: *omnium antiquissima et reliquarum fons praecipuus agnoscitur, intra biennium, aut triennium, post obitum Adalberti conscripta (a viro), qui ea aut ipse vidit, aut ab Adalberto et fratre ejus Gaudentio, qui sancto viro inde ab infantia fidelissimus comes adhaeserat, a S. Nilo et Leone, audivit, (et) ultimam Adalberti expeditionem et martyrii historiam a Gaudentio, itineris socio, quem praecipua observantia coluit, didicisse videtur*. PERTZ, *Monum.*

Germ. hist. Scriptor., T. IV, pag. 574-610. (2) HELMOLD, *Chron. Slav.*, l. I, c. 1. LUCAS DAVID, T. 1, str. 31. SCHÜTZ, *Chron. Pruss.*, str. 3. (3) *Miracula S. Adalberti Martyris*, ap. PERTZ, *Script.*, T. IV, pag. 615. (4) *Miracula S. Adalberti*. (5) *Vita MEINVERCI Episc.*, ap. PERTZ, *Script.*, T. XI, pag. 109 et *Annales Hildsheimenses*, ibid., T. III, pag. 92. *Ipso anno (1000) imperator tempore quadragesimali orationis causa ad S. Adalbertum Slaviam intravit*. (6) THIETMAR, ap. PERTZ, *Script.*, T. III, pag. 780. *Decursis tunc Milsini (Milsaviae) terminis, huic ad Diedesisi pagum* (między rzekami Odrą, Bobrą i Kacbachem) *primo venienti Bolizlavus, qui major laus non merito, sed more antiquo interpretatur, parato in loco, qui Ilua* (Halbau, czy Eilau nad Bobrą), *suimet hospicio, multum hilaris occurrit. Qualiter autem caesar ab eodem tunc susciperetur, dictu incredibile ac ineffabile est*. (7) *Miracula S. Adalb.*, ap. PERTZ, *Script.*, T. IV, pag. 615. *Stravitque ei viam publicam de baldekinis et sammitis, diversisque pretiosis sericis ornamentis ad duo magna miliaria usque in Gnesen in templum ad tumbam sancti Adalberti*. NARUSZEWICZ, *Historia narodu polskiego*, T. I pod r. 1000. (8) NARUSZEWICZ, *Historia narodu polskiego*, T. I pod r. 1000. (9) THIETMARI *Chronicon*, ap. PERTZ, *Script.*, T. III, pag. 781. *Videns a longe urbem desideratam, nudis pedibus suppliciter advenit, et ab episcopo ejusdem Ungero venerabiliter susceptus ecclesiam introducitur, et ad Christi gratiam sibi impetrandam martyris Christi intercessio profusis lacrymis invitatur*. (10) IDEM *ll. Nec mora fecit ibi archiepiscopatum, committens eundem praedicti martyris fratri Radzino*. Także *Annales Hildesheimenses*, ap. PERTZ, *Script.*, T. III, pag. 92. *Gaudentium fratrem B. Adalberti ordinari fecit archiepiscopum ob amorem et honorem sui venerandi fratris digni pontificis et martyris*. (11) *Miracula S. Adalb.*, ap. PERTZ, *Script.*, T. IV, pag. 616. (12) THIETMAR, *Chron.*, l. 1, pag. 781. *Caesar facto ibi altari sanctas in eo honorifice condidit reliquias*. (13) IDEM *l. l. Perfectis tunc omnibus, imperator a praefato duce magnis muneribus decoratus, et quod maxime sibi placuit, trecentis militibus loricatis. Hunc abeuntem Bolezlaus comitatu usque ad Magdeburg deduxit egregio*. (14) *Chronica Conventus Tremesnensis*. L. MS., pag. 15. (15) COSMAE *Chron. Boëmorum*, ap. PERTZ, *Script.*, T. IX, pag. 68. (16) *Annales Cracovienses* w ŁĘTOWSKIEGO *Katalogu biskupów krakowskich* w Tomie IV na końcu str. 13. *Anno MCXXVII. Inventio capitis Sancti Adalberti*. Continuator COSMAE ap. PERTZ, *Script.*, T. IX, pag. 133. *Anno dominicae incarnationis 1127. 7. kalend. Martii, caput S. Adalberti martyris et pontificis in civitate Gnesden repertum est* itd. (17) DŁUGOSZ, *Hist. pol.*, lib. II, pag. 196. (18) STRONCZYŃSKI, *Pieniądze Piastów od czasów najdawniejszych do r. 1300*, w Warszaw. 1847. Zob. typy pod liczbami 15, 21, 23, 26, 28 i 34. (19) Dowodnie okazaliśmy w dziełku naszym, któreśmy w r. 1858 wydali pod tytułem: "Żywot św. Wojciecha biskupa i męczennika, z uwagami nad podaniem Czechów, jakoby zwłoki jego w Pradze spoczywały", że nie w Pradze, ale w gnieźnieńskiej katedrze, święte Wojciecha spoczywają szczęty; do tego zatem dziełka naszych odsyłamy czytelników.

~~~~~~

POKÓJ DUSZY

ŚW. PIOTR Z ALKANTARY

Jak zwolna i stopniowo dochodzimy do zbudowania wewnętrznego przybytku świętego pokoju

Czuwaj nad tym, aby się do serca twego nie wkradał ani smutek, ani trwoga, ani troska o to, co się wkoło ciebie dzieje, ale najusilniej staraj się o utrzymanie i zachowanie w duszy tego pokoju, ponieważ Zbawiciel powiada nam: "Błogosławieni pokój czyniący" (Mt. V, 9). O to się tylko staraj, a On sam przyjdzie do duszy twojej i zbuduje w niej miasto pokoju i przybytek upodobania swego.
~~~~~~

Od ciebie żąda tyle tylko, abyś dostrzegłszy najmniejszy bunt zmysłowości, natychmiast starał się go uśmierzyć i uciszyć, i wszystkie władze i poruszenia duszy, wszystkie myśli i czyny twoje w ustawicznym utrzymywać pokoju.

Wszelako, ponieważ żadne miasto w jeden dzień nie było zbudowanym, tak podobnież i ustalenie tego świętego pokoju w duszy nie może być dziełem dnia jednego.

Wszak tu chodzi ni mniej ni więcej tylko o wybudowanie przybytku, w którym Bóg Sam ma zamieszkać, o wzniesienie świątyni, w której Sam Duch Święty ma ustawicznie przebywać: Toteż On Sam jest tu głównym budowniczym i bez Niego daremną byłaby cała twoja robota.

Jedno pamiętaj, że kamieniem węgielnym i główną podwaliną tej budowy jest: **pokora**.

Pokój duszy, przez św. Piotra z Alkantary. Z angielskiego na język polski przełożył O. Bernard Łubieński ze Zgromadzenia OO. Redemptorystów w Mościskach. Kraków. NAKŁADEM OO. REFORMATÓW. DRUKARNIA EUG. I Dr. KAZ. KOZIAŃSKICH. 1909, ss. 13-14.

~~~~~~

O WIELKIM ŚRODKU MODLITWY

DO DOSTĄPIENIA ZBAWIENIA I OTRZYMANIA OD BOGA WSZYSTKICH ŁASK, JAKICH PRAGNIEMY

ŚW. ALFONS MARIA LIGUORI

Doktor Kościoła, Założyciel Zgromadzenia Redemptorystów

CZĘŚĆ I.

O konieczności, wartości i warunkach modlitwy

Rozdział II. **O skuteczności modlitwy**

Punkt 6. **Zakończenie**

Słowem, bez modlitwy bardzo trudno, owszem – jak widzieliśmy – według zwyczajnej Opatrzności Bożej niemożliwą jest rzeczą zbawić się; ale z modlitwą jest to rzeczą pewną i bardzo łatwą. Nie jest koniecznym, aby się zbawić, iść między
~~~~~~

niewiernych i oddać swe życie; nie jest konieczną rzeczą udać się na pustynię i żywić się korzonkami. Czego potrzeba, aby się zbawić? Powtarzać: Boże mój, wspomóż mię; Panie ratuj mię, zmiłuj się nade mną. Czy jest co łatwiejszego nad to? A to wystarczy, byśmy się mogli zbawić, jeżeli to w czyn wprowadzimy. Św. Wawrzyniec Justyniani upomina nas, byśmy się starali modlić się przynajmniej na początku każdej czynności. A Kasjan świadczy, że starzy ojcowie zachęcali, aby się do Boga uciekać głównie krótkimi lecz częstymi modlitewkami. Niech nikt nie lekceważy sobie swej modlitwy – mawiał znowu św. Bernard (1) – bo Bóg ją ceni i daje nam wskutek niej albo to, o co prosimy, albo co uważa dla nas za pożyteczniejsze. I pamiętajmy, że, jeśli się nie modlimy, nie będziemy mieli żadnej wymówki, ponieważ każdemu Bóg dał łaskę modlitwy; w naszej mocy jest modlić się, kiedy tylko chcemy, jak mówił o sobie Dawid: *Przy mnie modlitwa do Boga żywota mego: powiem Bogu: Tyś mój obrońca* (Ps. 41, 9. 10). O tym pomówimy dłużej w drugiej części, w której wyłożę dostatecznie, że Bóg każdemu daje łaskę modlitwy, aby przez nią mógł otrzymać następnie wszystkie łaski, i to nawet obfite, do zachowania przykazań Bożych i do wytrwania aż do śmierci. Na razie mówię tyle, że jeśli się nie zbawimy, nasza tylko będzie w tym wina; potępimy się tylko dlatego, żeśmy się nie modlili.

Św. Alfons Maria Liguori, Doktor Kościoła, Założyciel Zgromadzenia Redemptorystów, *O wielkim środku modlitwy do dostąpienia zbawienia i otrzymania od Boga wszystkich łask, jakich pragniemy*. Przetłumaczył z włoskiego O. Stanisław Misiaszek, Redemptorysta. Kraków 1930, ss. 59-60.

Przypisy: (1) In Quadragesima Serm. 5, n. 5.

Pismo rzymskokatolickie powstałe przy współpracy ze stroną internetową
www.ultramontes.pl

Omnia ad honorem Omnipotentis Dei, Virginis Mariae et Ecclesiae Romanae!